Nr. 2. Poznań, dnia 8 stycznia 1911 r. Rok XV.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi Poznań, ul. Rycerska Nr. Telefon Nr. 97 Ogłoszenia od wiersza drobn. 30 fen.

Stronnictwa i prądy polityczne w Europie.



Wewnętrzną historyę ludów europejskich cechuje od wielkiej francuskiej Rewolucyi począwszy stopniowy postęp demokratyzacyi ogarniającej wszystkie dziedziny zbiorowego życia.

Rozkwit przemysłu zaspakającego drogą fabrycznej, masowej produkcyi konsumpcyjne potrzeby ludności zmienił z gruntu życie gospodarcze. Również w polityce zdobyły masy ludności czynny udział w życiu państwowem. Przemiana dawniejszych armij żołdowych w armie złożone z obywateli kraju złączyła los każdego poszczególnego obywatela tak ściśle z losem całości państwowej, że państwo w daleko wyższej mierze niż dawniej stało się decydującą dlań potęgą życiową. Widzimy przeto, jak z biegiem 19-go wieku dokonuje się w największych państwach europejskich zwrot do systemu parlamentarnego. Już przed r. 1871 dokonały go wszystkie zachodnio-europejskie państwa, również Anglia wprowadziła formy konstytucyjne w swych wielkich zamorskich koloniach. Ostatniemi laty widzieliśmy, jak się ten sam proces dokonał w Rosyi. Nawet w Azyi idea konstytucyjna coraz szersze zatacza kręgi: Japonia, Persya, Turcya wprowadziły konstytucye, konstytucyę wypracowują nawet w Chinach.

Ale także pod władaniem parlamentaryzmu wpływ mas ludności w różnej się uwydatnia mierze. Wzrost demokratyzacyi objawił się przedewszystkiem w stopniowem rozszerzaniu prawa wyborczego: od wyborów klasowych do zaprowadzenia czteroprzymiotnikowego systemu wyborczego dla wszystkich dorosłych mężczyzn. Cel ten osiągnięto w zupełności w Niemczech, Austryi, Francyi tudzież w kilku pomniejszych państwach. W innych krajach wykluczone są od wyborów bądź to zupełnie ubogie, bądź zupełnie nieoświecone żywioły, lub istnieje nierówność prawa głosowania na korzyść posiadających. Wszędzie jednak rozpoczął się ruch wymierzony przeciw owym resztkom starszych arystokratycznych systemów, a tu i owdzie kobiety dopominają się równouprawnienia wyborczego, jak n. p. w Anglii. W Finlandyi i Australii je osiągnęły.

Właściwemi fortecami arystokratycznych żywiołów w państwach konstytucyjnych są pierwsze izby, złożone z żywiołów bądź nominowanych przez monarchę, bądź prezentowanych przez pewne stany i korporacye, już to nareszcie osobnym przywilejom zawdzięczających członkostwo. Ponieważ zmiana składu pierwszych izb w monarchicznych państwach nie łatwo da się przeprowadzić, przeto usiłowały zazwyczaj drugie izby ograniczyć ich wpływ. Toż n. p. w Anglii, właściwej ojczyźnie systemu dwuizbowego, namyślano się nad tem, czyby się nie udało równouprawnienia izby lordów usunąć także formalnie, pozostawiając jej tylko prawo zakładania suspensywnie działającego „veto“ przeciwko uchwałom izby gmin.

Rządy zajmowały początkowo wszędzie bardzo samodzielne stanowisko wobec parlamentów. Powoli jednak rozszerzyła się zasada, najpierw w Anglii praktycznie wprowadzona, według której monarcha jest obowiązany ministrów wybierać z każdorazowej większości izby drugiej. Tak dzieje się obecnie także we Francyi, we Włoszech i w pomniejszych państwach; jednakże i w Austryi utworzono ministerstwo po ostatnich wyborach z członków najsilniejszych partyj, a nawet w niemieckim parlamencie oświadczył ks. Bülow, że będzie musiał ustąpić, jeżeli blok, na którym się opierał, się rozpadnie, lub przestanie go popierać.

Ten sam kierunek uwydatnia się w rozwoju partyj. Jeszcze w pierwszej połowie zeszłego wieku były partye polityczne w swej istocie utworami arystokratycznemi. Konserwatyści reprezentowali arystokracyę ziemiańską, liberali własność i inteligencyę mieszczańską. Nie brakło wprawdzie demokratów i radykałów, lecz mała była ich liczba. Byli to po największej części doktrynerzy i ludzie zdeklasowani i mało znajdowali współczucia u mas, których interesów bronić zamierzali. Dopiero w połowie zeszłego wieku pojawiły się dwie wielkie partye ludowe, które dotąd krok po kroku odbierały grunt z pod nóg starszym partyom i zmusiły je do znacznych wewnętrz-

nych przeobrażeń. Temi partyami to: klerykalizm i socyalizm.

Klerykali oparli się o religijne wierzenia i uczucia mas ludowych. Mieli i tylko tam widoki powodzenia, gdzie kościelne organizacye silnie były rozwinięte. Stąd klerykalizm głównie w katolickich krajach się rozwinął i jest tamże potężnym i dobroczynnym czynnikiem politycznym i społecznym.

Ongi kościół panował nad ludami w najściślejszym związku z monarchami i arystokracyą. Z chwilą gdy punkt ciężkości życia politycznego coraz wyraźniej uwydatniać się począł w parlamentach, starali się zwolennicy Kościoła zorganizować wiernych w silnych związkach parlamentarnych, by w ten sposób wpływ sobie należny wywalczyć. Tak więc wstąpienie mas ludności jako czynnika współrzędnego w politykę państwową umocniło potęgę Kościoła na nowo i ufundowało jego olbrzymie znaczenie. Państwa, upatrując w tem nieznośną ingerencyę w swoje prawa, starały się zrzucić — jak się wyrażano — jarzmo kościelne. Ponieważ jednak nie dało się to osiągnąć przez środki gwałtowne, przeto coraz bardziej starają się przeciwnicy Kościoła ująć mu zwolenników kładąc rękę na wychowaniu publicznem, to znaczy eliminując kościelne wpływy wychowawcze ze szkół państwowych, a zakazując równocześnie utrzymywania szkół duchownych. Podczas gdy walka ta w Niemczech, Austryi, Belgii i Niederlandach nie zdołała wstrząsnąć pozycyą kościelną, owszem, częściowo ją nawet wzmocniła przez odpór, jaki barbarzyński ten nacisk wywołał, to systematyczna antykościelna i antychrześciańska polityka francuska zdaje się nie być pozbawioną niejakich sukcesów. Wszakże spodziewać się należy, że sukcesy te, tak bardzo dla najistotniejszych interesów narodu francuskiego i kościoła szkodliwe, okażą się tylko zjawiskami przemijającemi. Tyle jednak zdaje się być pewna, że walka pomiędzy Kościołem a państwem bynajmniej nie może uchodzić za zakończoną, i że najistotniejszym jej terenem będzie i w przyszłości dziedzina wychowania publicznego. Uczą tego także najświeższe zajścia hiszpańskie i portugalskie.

Jasna zatem, że partye katolickie broniąc się przeciw pogwałceniu ze strony rządów i partyj liberalizujących coraz energiczniej się organizują. Akcyi tej sprzyja poważny nastrój katolickiej ludności. Francya i pyrynejskie państwa już przed r. 1870 miały silne partye katolickie, partya centrowa od samego swego powstania jest przystanią wszystkich dobrze katolickich żywiołów w Niemczech i z każdym rokiem wspanialej się rozwija, w Austryi i Belgii nowe ustawy wyborcze znacznie wzmocniły partye katolickie, a nawet we Włoszech, gdzie do niedawna katolicy stronili od życia politycznego, od kilku lat uwydatnia się silna akcya katolicka, po której należy się wielkich spodziewać wyników, szczególnie jeżeli reforma wyborcza w tym kraju pomnoży prawa masy ludowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).



„Hołd pruski“ Jana Matejki.*)

Fragment środkowy.

W noworocznym zeszycie „Pracy“ podaliśmy fragment środkowy z Matejkowskiego obrazu „Hołd Pruski.“

Prosimy czytelnika wziąć do ręki ten obraz, ponieważ pragniemy objaśnić, kogo poszczególne postacie przedstawiają.

Otóż na rynku krakowskim, obok fasady Sukiennic od ulicy Brackiej, na wzniesieniu pokrytem czerwonem suknem, składa książę pruski Albrecht Hohenzollern 10-go kwietnia 1525-go r. uroczysty hołd wierności przed królem polskim Zygmuntem I., Starym z dynastyi Jagiellonów.

W pośrodku siedzi na tronie król Zygmunt w uroczystych szatach, złotej kapie i królewskiej dalmatyce i trzyma na kolanach otwartą Ewangelię. Przed nim klęczy książe Albrecht w pełnej zbroi, z gronostajowym płaszczem na ramionach. Prawą rękę położył na Ewangelii na znak przysięgi, w lewej trzyma wielką pruską chorągiew. Tuż przy Albrechcie stoi z lewej strony doradca książęcy Hajdek, za księciem zaś dwaj jego bracia: książe Jerzy w niebieskiej szacie i książe Kaźmierz we fioletowej. Dotykają oni rękami sznurów pruskiego sztandaru na znak współudziału w hołdowniczej przysiędze. Za nimi w głębi widać siwą głowę Łukasza Górki.

Tuż obok króla stoi pięcioletni naówczas infant królewski Zygmunt August ze złotym łańcuchem w rękach. Łańcuch ten ma ofiarować król hołdownikowi po złożeniu przysięgi. Przy dziecku królewskiem stoi ochmistrz jego Piotr Opaliński w ciemnym płaszczu z futerkiem, w złotej czapeczce i z łańcuchem złotym na szyi. Z prawej strony za królem stoi z dobytym mieczem Hieronim Łaski, synowiec arcybiskupa gnieźnieńskiego, przy nim podkanclerzy, biskup Piotr Tomicki, czytający głośno rotę przysięgi. U stóp króla, na stopniach wzniesienia, siedzi Stańczyk, błazen królewski, w czerwonym błazeńskim stroju, z piszczałką w ręku. Stańczyk — to portret własny artysty.

* * *

Jan Matejko ur. się w Krakowie 28-go lipca 1838 r. Roku 1852 wstąpił do krakowskiej Szkoły sztuk pięknych i tam uczył się malarstwa i kompozycyi pod kierunkiem Wojciecha Stattlera. R. 1858 wyjechał na studya do Monachium, lecz już po 10 miesiącach wrócił do Krakowa. W r. 1859 bawił przez 2 miesiące we Wiedniu. Ożeniwszy się r. 1864 podróżował po Niemczech i Francyi, r. 1872 odbył podróż do Konstantynopola. Wezwany r. 1863 przez Akademię sztuk pięknych w Pradze do objęcia posady dyrektora tejże Akademii, nie przyjął ofiarowanej mu godności, lecz objął w tym samym roku ofiarowaną mu posadę dyrektora Szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Miasto Kraków ofiarowało wielkiemu artyście r. 1878 berło.

Matejko stworzył cykl wielkich obrazów z przeszłości Polski, malował prócz tego portrety i ozdobił polichromią wnętrze kościoła Maryackiego w Krakowie. Artystyczna działalność jego przyniosła mu uwielbienie i sławę u swoich i obcych. Zewsząd sypały się nań odznaczenia w postaci medalów, orderów, zamianowań na członka najsławniejszych akademij. Był doktorem filozofii honoris causa, kawalerem legii honorowej, komandorem orderu Piusa IX. i honorowym obywatelem wielu miast.

Zmarł 1-go listopada 1893 r. w Krakowie, w tym samym domu przy ulicy Floryańskiej, w którym przyszedł na świat i tworzył swe arcydzieła, a w którym obecnie mieści się pod nazwą „Domu Matejki“ muzeum pamiątek po niezrównanym mistrzu. Pochowany został kosztem kraju dnia 8-go listopada 1893 r. na cmentarzu krakowskim.

* * *

Matejko — pisze Stanisław Witkiewicz — jest jedną z najoryginalniejszych postaci w sztuce, zjawiskiem tak niespodzianem i jedynem jak Böcklin.

*) Niestety nie wszyscy czytelnicy mogli otrzymać ten obraz, gdyż poczta w ostatniej chwili zażądała niespodziewanie wielką liczbę „Pracy“, tak że obrazów albumowych drukowanych dla zwykłego nakładu — zabrakło.
Redakcya

Świat polski załamał się w jego dziwnej duszy swemi najbardziej tragicznemi i bohaterskiemi pierwiastkami, ponieważ ta dusza była z natury w sposób szczególny do tego usposobiona.

Rasa ludzi, stworzona przez Matejkę, na tle jej szczególnych przymiotów indywidualnych, poruszaną jest wiecznie trwałemi, żywiołowemi stanami uczuć, które wyrażał on z drżącą porywającem życiem prawdą. Ta prawda działa tak przekonywująco, że przeszłość Polski stała się dla wszystkich widzów Matejki taką, jaką on ją widział i malował. Jest ona jak żywa w tych obrazach, ponieważ bezwzględna ich szczerość ma taką siłę suggestyjną, że nie zawsze się godząc na jego pojmowanie historycznych zdarzeń, nie można się oprzeć wyobrażaniu ich takiemi, jak je Matejko ukazał. Obrazy jego były jak objawienie dla myśli ludzi, którzy o tej przeszłości marzyli, a którzy nie mogli jednak jej wyobrazić, ponieważ bezduszność tego, co przed Matejką ukazywała sztuka z przeszłości, było zaporą dla wyobraźni, narzucając jej widma blade, powszednie, bez krwi i życia. Ukazanie się obrazów Matejki było jakoby rozdarciem zasłony, oddzielającej nas od świata dawnej Polski, było rzeczywistem odwaleniem grobowego kamienia i wskrzeszeniem życia tego, co było prochem i popiołem. Matejko wydawał się dziwnym świadkiem wielkich zdarzeń, powiernikiem ludzi potężnych i znakomitych, żyjących przed wiekami, posiadaczem zagadki ich najtajniejszych myśli. Przez ten świat umarły wiódł on ludzi współczesnych, jak Wirgiliusz Dantego przez kręgi piekieł.

Wydobyć z możliwą siłą indywidualny charakter danego człowieka i z równie wielką potęgą i prawdą oddać wyraz jego uczuć, jego stan duszy, w danej chwili i pod wpływem danych zdarzeń, to zagadnienie, które było najistotniejszą treścią twórczości artystycznej Matejki.

Matejko miał duszę smutną z natury. Nie tylko wyszedł on z pesymistycznego poglądu na historyę i w pierwszych obrazach brał z niej tylko to, co było najsmutniejszego, najtragiczniejszego, ale on nie mógł wyrażać, prosto i szczerze, jasnych i wesołych stron życia. Nie mógł, bo nie czuł. Stworzył on swoją rasę ludzi, napiętnowanych jakimś fatalistycznym tragizmem. Są to natury o wielkich namiętnościach, głębokich uczuciach, przejęte do dna stałem, niesłychanie silnem napięciem energii psychicznej, która orze w bruzdy i fałdy ich twarze, o rysach wybitnych, wypracowanych, wyrafinowanych , na których zdają się ciążyć pokłady całe dziedziczonej kultury, powstałe pod najwyższem ciśnieniem życiowego tragizmu.

Matejki sztuka nie była wynikiem obserwacyi życia zewnętrznego, była ona wynikiem dążności do wyrażenia siebie, swojego wewnętrznego świata. Wszystko to, co nie było wynikiem bezpośredniego, wewnętrznego odczucia i co nie mogło mu pozować w pracowni, wszystko to jest tak dalece niższe od twarzy i figury ludzkiej. Matejko nie umiał obserwować — może z powodu krótkiego wzroku. Nie mógł obserwować wskutek nadmiernego subjektywizmu i wskutek tego zresztą, że ten świat form, który malował, nie istniał w rzeczywistości, w życiu, i tylko mógł być odtworzony przy pomocy badań archeologicznych, a materyalnie widziany tylko w postaci modela w pracowni. Nie mogąc obserwować, nie mógł też Matejko mieć i używać takiej władzy jak pamięć malarska. Cała jego sztuka jest to zmateryalizowanie wewnętrznych własnych stanów, widzeń, przy pomocy bezpośredniego udziału w tworzeniu natury — modela. Była to ta zewnętrzna kontrola, która powstrzymywała jego tak skłonny do maniery talent od szybkiego wyczerpania się i upadku.

* * *

Z pomiędzy ośmiu wielkich obrazów Matejki „Hołd pruski“ jest jednym z najjaśniej skomponowanych, pod względem zaś doskonałości pojęcia, sformułowania i namalowania figur jest bodaj najświetniejszym. Cała ta grupa króla Zygmunta i klęczących przed nim Prusaków robi wrażenie czegoś wycyzelowanego w bronzie, czegoś nienaruszalnie doskonałego, ujętego w formę, której jasność, czystość, świadomość jest szczytem opanowania środków malarstwa. Gdyby Matejki nie była opanowała zwykła rozbieżność myśli, która mu kazała na pierwszym planie umieścić parę anegdot obyczajowych, obraz ten byłby wzorem kompozycyi. Ten król, potężne postacie Albrechta i towarzyszów, te dwie figury paziów, tak niezrównane w rysunku, tak piękne w stroju i żywe, ten magnat w zielonej szacie, wszystko to tchnie siłą, wielkim spokojem ludzi pewnych swojej mocy, spełniających czyn, który się im zdaje nieodwołalnym. Matejko jednak wie, co z tego będzie po wiekach, — wie, i każe o tem wiedzieć Stańczykowi... Cała górna część obrazu, gdzie główna scena ujęta jest w postacie ludzkie, widziane z profilu i cały charakter obrazu, jego czystość i wyrazistość kształtów, jego pyszna, dotykalna plastyka, wszystko to robi wrażenie kolorowej rzeźby... „Hołd pruski“ należałoby wyrzeźbić ściśle podług obrazu i w tej samej wiel kości umieścić na ścianie Sukiennic, na wprost ulicy Ś-go Jana!

* * *

W życiu polskiego społeczeństwa, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, twórczość Matejki była ogromnego znaczenia. To wszystko, co stanowiło olbrzymią część treści narodowej myśli, to wszystko, co w niej było wypływem jej związku z przeszłością, wszystko to znalazło w twórczości Matejki wyraz. Była ona jakby bezpośrednią emancypacyą tego przebywania myśli narodowej w światach przeszłości, opromienionej wszystkiemi blaskami aureoli, na jakie się zdobywa naród, myśląc o czasach, które się ukazują w oddali, obrane z dobrych, codziennych i lichych stron życia i widne tylko w swoich najświetniejszych, lub najczarniejszych, ale w największych, najbardziej imponujących prze jawach.

W pewnym kierunku sztuka jego wytężała siłę twórczą do ostatnich granic ludzkiej możności.

Matejko wyszedł z pokolenia i czasów, w których dusze ludzkie gorzały jak w wulkanie, w wielkich pragnieniach, niezmiernej nadziei i równie niezmiernej rozpaczy, czuł on w sposób wielki, głęboki i przeszedł przez dusze polskie, porywając je na wzniosłe szczyty uczuć, powiększając je i tym sposobem spełniając to posłannictwo, które przed nim spełniali wielcy poeci. Miał on wiele wad, których unikają nawet średnie talenty, ale miał jedną bezwzględną zaletę: tworzył arcydzieła!

Trzymaj miarę w wydatkach. Miarą kotek mówi.
A kiedy masz łososia kupić, uważ pierwej,
Czy cię na śledzia stanie.

Krzysztof Opaliński.

* * *

Nie broń niczego pozornie, wszystkiego broń statecznie.

Stanisław Lubomirski.

* * *

Bez pragnienia, człowiek byłby bezczynnym i martwym; bez rozsądku, czyniłby źle i dobrze bez różnicy, bez cnoty, byłby myślącym głazem, pustelnikiem wśród zaludnionego świata.

Józef Supiński.



Dr. Tadeusz Łabendziński.

Wykłady popularne.

B. XVII.

Jakim jest rozkład klimatyczny na świecie?

Ziemia nasza pobiera swoje światło i ciepło od słońca. Na tem polega nietylko zmiana dnia i nocy, spowodowana w dalszym ciągu obrotem kuli ziemskiej wkoło słońca, koleją o postaci elipsy, t. zw. ekliptyki, w przeciągu 365 i jednej czwartej dnia, ale i różnica ciepłoty czyli klimatu na globie naszym, zależna w wysokim stopniu od kąta ustawienia się osi ziemskiej wobec ekliptyki. Pod im więcej nachylonym albo ostrym (czyli od 90 stopni odbiegającym) kątem bowiem promienie cieplne (i świetlne) na powierzchnią ziemi padają, tem mniej silne jest ich działanie, tem mniej ciepłota ziemi i otaczającej ją atmosfery się podnosi. Promienie, padające pod kątem prostym (pionowym, o nachyleniu 90 stopni) na ziemię, najsilniej na wzmożenie się jej ciepłoty oddziaływają, o czem każdy z nas przekonuje się uważając, że w południowej porze słońce najsilniej grzeje. Wtenczas bowiem najwyżej stoi ono na firmamencie i promienie, pod któremi promienie słoneczne na ziemię padają, najwięcej zbliżone są do kąta prostego. Zupełnie prostopadle u nas jednakowoż nigdy w roku słońce nie świeci, najwięcej zbliża się ono do tego stanu 21 czerwca, najwięcej zaś odbiega od niego 21 grudnia. Są jednakowoż okolice na naszej ziemskiej kuli, gdzie słońce wiecznie, co dnia każdego roku i wieków całych, w południe dochodzi do t. zw. zenitu, tj. punktu najwyższego na sklepieniu nieba, świecąc wprost nad głowami ludzi tych okolic. Są to kraje leżące nad t. zw. równikiem albo ekwatorem i leżą one o kilkaset mil oddalone od nas, w Afryce środkowej, środku Ameryki południowej i nieco po za wybrzeżami południowej Azyi. Tam to też długości dnia i nocy są sobie zawsze równe, wynosząc po 12 godzin każda, podczas gdy u nas, między równikiem a biegunem, czas ten wynosi między 18 a 6 godzinami, a pod biegunem samym noc i dzień trwają bez przerwy po pół roku. Już na północy Europy naszej, a więc w okolicach bliżej od nas ku biegunowi północnemu położonych, np. w Petersburgu lub we Finlandyi, są niektóre dni latem o wiele dłuższe od naszych, tak, że w końcu czerwca mrok wieczorny, trwający tam zaledwie godzinę, przechodzi od razu w świt poranny, a ciemności nocnej przez kilka dni ludzie tam wcale nie mają. Za to też w końcu grudnia słońce wcale prawie ponad widnokrąg nie wschodzi i kilkodzienna noc panuje w onych niedalekich nam okolicach. Wiemy dalej, że gdy u nas w Europie jest dzień, to na drugiej półkuli, w północnej Ameryce, jest równocześnie noc, a gdy u nas jest np. lato, to w Afryce południowej, południowej części Ameryki południowej i Australii jest równocześnie zima i przeciwnie. Z tych wszystkich przykładów, dotąd przytoczonych, możemy już wywnioskować, jak różne warunki klimatyczne panują na naszej ziemi. Znamy na ogół 5 głównych stref, jedną gorącą, obejmującą krainę w postaci szerokiego na 500 przeszło mil pasa okrągłego po obu stronach równika, dwie t. zw. umiarkowane, leżące na obydwu półkulach północnej i południowej i rozciągające się od t. zw. zwrotników aż do kół polarnych, i dwie strefy zimne, na około obydwóch biegunów. Ten zasadniczy i ogólny rozkład klimatu na ziemi zmodyfikowany jest znacznie przez dwa współczynniki, wielkie obszary mórz i oceanów, czterokrotnie powierzchnię lądu stałego na ziemi przewyższających i po drugie wiatry. Oprócz tego dochodzą tu jeszcze mniejsze czynniki, wpływ swój na zmianę klimatu wywierające, jak wzniesienie ponad poziom morza, obfitość lasów, zasłonięcie przez góry itd. Znany ogólnie jest wpływ morza na klimat całych krajów, okazujący się w tem, że w gorących strefach obniża się ciepłota przez prądy wodne, a w zimnych wzrasta. Ten nader korzystny i cenny, jaknajdodatniej na życie ludzkie, zwierzęce i roślinność wpływający czynnik wody, zmierzający do wyrównania krańcowych temperatur, polega na właściwości wody, że się trudniej ogrzewa, ale też trudniej ostyga niż ziemia („ciepło właściwe wody jest wysokie") Jak dalekim przeobrażeniom klimat ziemski dzięki prądom morskim podlegać może, przekonują nas okolice zachodniej Europy (Anglia, Skandynawia, Islandya), cieszące się dzięki bliskości wód morskich, od równika płynących, w zimie wyższą ciepłotą od naszej. Obszerne zaś lądy (jak pustynia Sahara, środkowa Australia, Tybet, środek północnej Ameryki) wykazują z tej samej przyczyny, jako zbyt oddalone od wyrównującego ciepłotę wpływu morza, krańcowe temperatury, dochodzące latem do 60 stopni ponad, a zimą do tyluż poniżej zera (Syberya). Także wiatrom, których powstawanie polega na znacznem ocieplaniu atmosfery (powietrza) w okolicach równika, podnoszeniu się ogrzanych (lżejszych) warstw i dopływie powietrza zimnego z północy i południa (od biegunów), zawdzięczamy silny wpływ na zmianę w klimacie naszym. U nas panują najczęściej wiatry z zachodu i przynoszą nam, przychodząc od strony morza, gdzie się wilgocią napoiły, deszcz, podczas gdy wschodnie wiatry są u nas (jako z lądów rosyjsko - azyatyckich przybywające) zwiastunami suchej, zimą zaś mroźnej do tego pory. Dość znacznym, choć lokalnym (miejscowym) tylko czynnikiem na ukształtowanie się klimatu danej okolicy jest również wzniesienie jej ponad poziom morza. Wiemy, że na wierzchołkach wysokich gór, np. w Alpach, wieczny leży śnieg, latem nawet pokrywający szczyty ponad 3000 metrów wysokości. Nawet pod samym równikiem; gdzie ciepłota nigdy poniżej 15 do 20 stopni ponad zero nie spada, gdzie latem ciepłota do 60 stopni Celziusza dochodzi, na wysokości 6000 metrów (Kilimandżaro) przez cały rok leży śnieg, w otoczeniu wiecznie zielonych lasów palmowych. Dziwne to zjawisko, spostrzegane i w balonach, które, wzniesione na kilka tysięcy metrów ponad ziemię regestrują wszędzie bardzo niski stan temperatury, dochodzący nieraz na 40 i 50 nawet stopni poniżej zera, polega znów na właściwości powietrza, które trudniej się ociepla, ale też oziębia, niż ziemia, tak że w górach, gdzie przestrzeń ziemi małą jest w porównaniu do ilości powietrza tam z powodu silnych wiatrów ustawicznie krążącego, ziemia nie może dostatecznie się ocieplić i nader niską wykazuje wobec tego zawsze ciepłotę. Jak również długie pasma górskie wpływać mogą na zmianę nagłą klimatu w bliskich sobie krajach, o tem przekonują nas np. stosunki klimatyczne panujące w Polsce w porównaniu z węgierskiemi. Karpaty zasłaniają Polskę od ciepłych wiatrów, wiejących z południa i przeciwnie Węgry od zimnych północnych, mamy więc u nas szczególnie latem o wiele chłodniejsze powietrze niż Węgry, którzy żniwa mają na jakie 6 tygodni przed naszemi i z najlepszemi skutkami mogą uprawiać winorośl.

Na zakończenie szkicu tego warto wspomnieć jeszcze o zmianach w klimacie, zaszłych podczas rozległych epok geologicznych na kuli

ziemskiej. Astronomowie zdołali stwierdzić, że oś ziemska nie znajduje się wiecznie w tej samej postawie wobec ekliptyki, lecz że stanowisko to z biegiem długich okresów, równych wielu milionom lat, nieco się porusza. Biegun nasz obecny znajdował się ongiś gdzieś bliżej równika, na co wskazują także złoża węgla kamiennego z jej florą krajów gorących, napotykane nietylko w naszych szerokościach, lecz także het na północy bieguna. Z drugiej strony i epoka lodowcowa (dyluwialna) tak u nas jak i w gorących dziś krajach (gdzie znaleziono pokłady z śladami roślinności stref zimnych) świadczą dobitnie o kilkakrotnych nawet i bardzo znacznych wahaniach się osi ziemskiej.



Zdzisław Leitgeber.

Najnowsi powieściopisarze polscy.

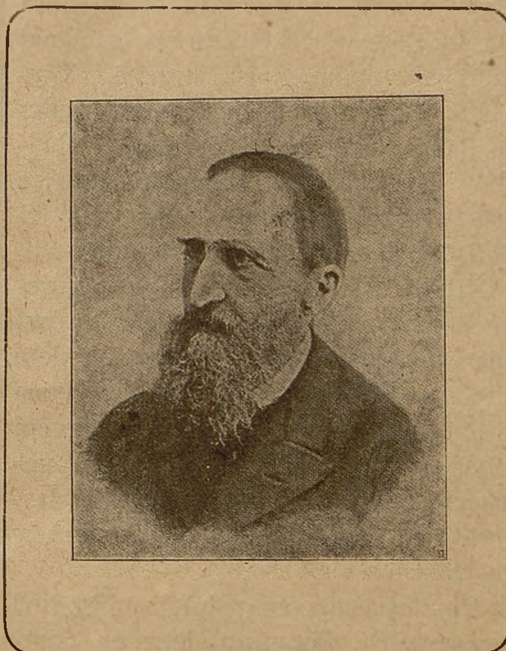
(1863—1910).

I.

Józef Ignacy Kraszewski

Rok 1863 stanowi klęskę polityczną, gdyż spowodował utratę autonomii w Królestwie Polskiem; popchnął natomiast naród do niestrudzonej pracy organicznej i wydał złote plony tworząc naszą podziw budzącą potęgę ekonomiczną, wiążącą się z nazwami dwu olbrzymich środowisk fabrycznych Warszawa, Łódź, pominąwszy liczne mniejsze jak Częstochowa, Sosnowiec itp. Także twórczość literacka wzmogła się do niebywałych ogromów. Poezya przestała być romantyczno-marzycielską; zajrzała do warsztatów i chat glinianych i zaczęła głosić hasła pozytywne, trzeźwe, podnoszące serca uznojone trudem i troską o chleb powszedni.

Z literatur współczesnych żadna nie odznacza się taką żywotnością, takiem bogactwem, taką rozmaitością, żadna nie wywołuje tak silnego oddźwięku w duszy czytelników, jak najnowsza literatura polska. Jak wielkiem jest jej znaczenie świadczy fakt, że Europa a w szczególności ziemie słowiańskie każdą świeżą powieść polską rozchwytują z niezwykłem zainteresowaniem. „Quo vadis" Sienkiewicza doczekało się w Francyi niezliczonej liczby wydań; zwolennicy autora zowią się sami „Quovadisiens". Według wykazów niemieckich bibliotek miejskich jest Sienkiewicz trzecim najwięcej czytanym autorem w Niemczech! W gimnazyach dalekiej Australii istnieją między młodzieżą angielską kółka imienia Sienkiewicza, gdzie jego utwory bywają czytane i roztrząsane. To najsłynniejsza



Ignacy Józef Kraszewski.

nasza wielkość. Lecz także inni, jak np. Weyssenhoff, Orzeszkowa, Rodziewiczówna etc. posiadają mir ogromny za granicą.

Pierwszym, który wogóle uwagę obcych zwrócił na polską literaturę jest *Józef Ignacy Kraszewski* (1812—87). Już przed powstaniem 1863 cieszył się popularnością. Jest to człowiek o czystym charakterze, walczący w imię przekonania, biorący za pióro dopiero po zbadaniu przedmiotu, o którym pisać pragnie. Jako autor w osłupienie wprawia swoją płodnością. Główna jego zasługa polega na tem, że ziomków czytać po polsku nauczył.

W roku 1830 przebywał na uniwersytecie w Wilnie i wydał tu pierwsze swoje powieści. Krytyka ostro je potępiła. Dotknęło to młodego autora tak bardzo, że zamierzał beletrystykę na zawsze porzucić.

Udziału w wojnie 1831 nie brał, ponieważ władze rosyjskie go przyaresztowały i wyjazd poza Wilno uniemożliwiły.

W czasie tym zajął się Kraszewski studyami historycznemi i opisał dzieje Wilna do roku 1750. Osiadł potem jako ziemianin na Wołyniu, czytał wiele i starał się o katedrę literatury polskiej na uniwersytecie kijowskim, lecz posada go ominęła. Rozgłos zdobył sobie dopiero powieścią „Poeta i świat" (1839).

Wydał także poemat „Anafielas," gdzie przedstawia parnas litewski, górę wieczności z mieszkającym tam bogiem sprawiedliwości i duszami umarłych. Nęciła go wogóle przeszłość Litwy pogańskiej; poświęca więc jej cykl poematów: „Witolorauda" sławi czyny Witola i bogini miłości Mildy; — „Mindows" opiewa króla Mindowę; — ostatnią częścią trylogii są „Witołdowe boje."

W latach 1840—41 wyznaje Kraszewski zapatrywania zachowawcze; nie ufa postępowi (powieść „Synowie wieku"), nie wierzy w możliwość emancypacyi kobiet i t. d. Lecz mimo to zaczyna niebawem szlachtę pokazywać w świetle niepochlebnem. („Latarnia Czarnoksięska"). Pisze szkice historyczne, etnograficzne, filozoficzne, literackie, polityczne, wygłasza demokratyczne zasady i redaguje czasopismo „Ateneum" (1841—51).

Z rokiem 1850 przenosi się na stały pobyt do Warszawy i jest odtąd beletrystą zawodowym; pisma jego obejmują siedmset tomów. Redaguje także „Gazetę Codzienną." Po roku 1863 wyprowadza się do Saksonii i mieszka w własnej wili w pobliżu Drezna. Do kraju już nigdy nie wrócił. Opiekował się na obczyźnie wychodźcami polskimi.

W roku 1883 oskarżono Kraszewskiego, że informuje Francyę o stanie armii niemieckiej. Przez sześć miesięcy toczył się proces w Lipsku, a sędziowie nie mogli znaleźć winy; naczelnik saskiej policyi oświadczył, że nawet cień podejrzenia na siedmdziesięcioletniego starca nie pada. Zaniepokojony tem kanclerz Bismark wystosował do sądu Rzeszy pismo twierdzące, że Kraszewski zawsze starał się szkodzić państwu niemieckiemu... Kraszewski został skazany na trzy i pół roku więzienia. Rok przebywszy w zamknięciu, zapadł na suchoty; wypuszczono go na wolność za kaucyą pieniężną.

Kraszewski zakończył żywot w roku 1887; pochowano go na Skałce w Krakowie.

Najlepszym jego utworem poetyckim są „Hymny boleści" (1857). Sztuki sceniczne Kraszewskiego mają wartość tylko przeciętną. Zasłużył się natomiast na polu powieści historycznej.

W romansie *„Gniew Boży"* opisuje walkę Polski z kozactwem w XVII. stuleciu. Odchyla tu strony ujemne Rzeczypospolitej, przedewszystkiem wyuzdaność i marnotrawstwo szlachty, wybryki magnatów i zepsucie moralne na dworze króla w czasie, gdy naród staczał się do upadku pod brzemieniem poniżenia i nędzy. Do modlitw i skruchy okazywał wprawdzie

szlachcic ochotę, lecz to nie wystarczało, aby ożywić słabnący organizm państwa niegdyś tak potężnego, sięgającego od morza do morza.

W powieści *„Król i Bondarywna“* przedstawia Kraszewski stan wewnętrzny Rzeczypospolitej za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. Osnowa wzięta z podania o tem, jak król zakochał się w prostej dziewczynie wiejskiej i jak ta dziewczyna przewyższała moralnie damy z arystokracyi. Oddała serce swoje postarzałemu monarsze, lecz ten po niejakim czasie ją porzucił. Zawiedziona wraca z Warszawy na wieś i w drodze umiera. Majacząc przed zgonem powtarza imię króla i wyrywa się ku niemu.

Kraszewskiego powieści nie celują artyzmem; braknie im siły, głębi i jasności obrazów. Miejscami podpada niedostatek jedności psychologicznej. Lecz autor umie się wmyśleć w przeszłość, posiada podstawową znajomość opisywanej epoki i nie zakrywa stron choćby najczarniejszych. Temi zaletami odznaczają się mianowicie Stara Baśń, Masław, Kunigas.

„Stara Baśń“ należy do utworów artystycznie znakomicie opracowanych. Piękne są epizody opisujące święto Kupały, wiece, swaty i obrzędy pogrzebowe w pogańskiej Polsce.

„Masław“ (1878) odnosi się do okresu piastowskiego. Autor zamierzał w postaci Masława uwydatnić siłę demoniczną nie przebierającą w środkach. Z koniuszego stał się Masław księciem, lecz po życiu burzliwem ginie powieszony na drzewie. Zwykle u Kraszewskiego marnie kończą żywot ludzie, którzy dążą do wysokich celów wiedzeni ambicyą osobistą, egoizmem i niskiemi instynktami. Masław udawał bojownika narodowego, lecz naród poznał, że maską patryotyzmu twarz swą przysłaniał oszust.

„Kunigas“ (1881) dotyczy walk Litwy z zakonem krzyżackim. Rycerze nie żyją już tak, jak powinni. Nikt nie zważa na prawa zakonne. Wino, wyszukane potrawy i umizgi do kobiet są jedynym celem mnichów. Typową jest postać Zygfryda, który nie chrzcić, lecz wytępiać radzi Litwinów. Jego hasło stanowią słowa okrutne: Ego te baptiso in gladio — ja ciebie chrzcę mieczem!

Bogate w wypadki dzieje Rzeczypospolitej, jej blask, jej wspaniałość, jej wielkość i potęga, a z drugiej strony swawola szlachty i bezprawia magnatów dostarczyły Kraszewskiemu wątku do wielu pięknych powieści, jak n. p. „Dola i niedola,“ „Brühl,“ „Pomywaczka,“ „Królewscy synowie,“ „Tułacze,“ „Bezimienna,“ „Hrabina Kozel.“

Do najlepszych wogóle dzieł jego należą: „Morituri,“ „Resurrecturi,“ „Rzym za Nerona.“ Za perłę drogocenną uważać trzeba „Ulanę,“ która pod względem technicznym stanowi wzór, jak romanse pisać trzeba. Wymienić jeszcze wypada powieści ludowe, jak „Ostap Bondarczuk,“ „Budnik,“ „Jaryna,“ w końcu „Chata za wsią,“ która Paderewskiemu jako libretto do opery Manru posłużyła.

Kraszewskiego obyczajowe powieści z życia współczesnego nie dorównują historycznym. Autor bowiem przebywając długie lata za granicą stracił styczność z społeczeństwem polskiem. Stąd w pismach swoich politycznych nieraz mylnie osądzał własnych ziomków i rzeczy, które działy się w kraju.

Powieści jego są polotem niższe od utworów Sienkiewicza, lecz on Sienkiewiczowi drogę utorował, on właściwy styl powieściowy wytworzył, on przygotował czytelników dla wszystkich późniejszych powieściopisarzów naszych. Słusznie go nazwano ojcem prozy polskiej.



Marya Konopnicka.

DZWONY.

A gdy skonał w czarnej chacie
Jasienko miły,
Poszła matka prosić dzwonów,
By mu dzwoniły.

Mój synaczek, mój rodzony
W trumnie leży.
O zagrajcież wy mu dzwony,
Z tej białej wieży.

Niechaj idzie głos bijący
O jasne słońce,
Przez te pola, przez te lasy,
Z wiatrem szumiące...“

Ale dzwony twarde serca,
Zimną pierś miały,
„Będziem jemu dzwonić, matko,
Za talar biały“. —

I wróciła, narzekając,
Do pustej chaty,
I wstrząsnęła wszystkie kąty
I zgrzebne szmaty...

I nic więcej nie znalazła
Prócz onej świty,
Którą syna trup zczerniały
Leżał nakryty.

— Nieszczęśliważ moja dola,
Jasienku miły!
Chybaż tobie łzy te moje
Będą dzwoniły...

Chyba moje narzekanie
Bić będzie z rosą,
Kiedy ciebie na mogiłki
Z chaty wyniosą!

I wynieśli za próg czarny
Trumienkę lichą,
A za synem poszła matka
Ścieżyną cichą...

I nie grały jemu dzwony
Z wysokiej wieży,
Jeno szumiał las zielony
I wietrzyk świeży...

Jeno dzwonki te liliowe,
Co w borze rosną,
Żeby dzwonić chłopskim trumnom
W drogę żałosną...



Z żałobnej karty.

Ś. p. ks. Jan George,

proboszcz Połajewski, radzca duchowny, umarł w Połajewie, w powiecie i dekanacie obornickim, w W. Ks. Poznańskiem, dnia 30-go z. m. i r., przeżywszy 82 lata.

Ks. Jan George urodził się w wilię Bożego Narodzenia roku 1828-go w Święciechowie pod Lesznem z rodziców Andrzeja i Anny, którzy również sędziwego doczekali się wieku.

Matka wraz ze starszym bratem ks. Jana, ś. p. ks. Bernardem, który także był proboszczem w Połajewie, spoczywają w grobowcu tuż przy kościele Połajewskim.

Rodzice ks. Georgego mówili tylko po niemiecku, lecz on sam, chcąc zostać kapłanem, wcześnie wyuczył się języka polskiego. Ówczesny ks. biskup - sufragan gnieźnieński Brodziszewski, jako proboszcz żniński powołał go też zaraz po wyświęceniu w r. 1858 na wikaryat do Żnina. Następnie pracował ks. George jeszcze w kilku parafiach polskich jako administrator. W roku 1870/1 zaopatrywał rannych i umierających na polach walki we Francyi ostatniemi Sakramentami św. jako pomocnik kapelana wojskowego. Po wojnie powołał go biskup polowy na kapelana wojskowego do Diedenhofen, na którem to stanowisku mimo różnych trudności wytrwał przez 7 lat.

Spotkawszy między tamtejszymi żołnierzami Polaków z Księstwa, postarał się o odnośne pozwolenie i miewał dla nich kazania polskie. Uwięzienie



† Ks. proboszcz Jan George.

biskupa wojskowego, ks. Namszanowskiego i powstałe stąd różne niedogodności, oraz życzenia władzy wojskowej, nie dające się pogodzić ze sumieniem kapłana prawdziwego, zniewoliły ks. Georgego do ustąpienia. Nie chcąc być bezczynnym, a nie mogąc dla walki kulturnej wrócić w strony ojczyste przyjął probostwo we Freudenbergu w Badenii, gdzie pozostał kilka lat, zajmując się kształcącą młodzieżą i dopomagając jej do osiągnięcia celu. Kilku kapłanów zawdzięcza całkowite lub też częściowe swe wykształcenie ks. Georgemu.

W roku 1886 przybył ks. G. wreszcie do Księstwa i objął osieroconą przez śmierć brata swego parafię Połajewską. Od tego czasu aż nieomal do dnia śmierci, a więc przeszło 24 lata pracował gorliwie nad zbawieniem dusz swych parafian, wspierając ich także w potrzebach doczesnych. Świecił im dobrym przykładem również jako obywatel, a pragnąc cenną i trwałą zostawić pamiątkę parafianom z okazyi złotego jubileuszu kapłaństwa, kazał wystawić z własnych funduszów piękną i wspaniałą wieżę, której budowę ukończono w lipcu 1908 r.

Władza duchowna mianowała ks. fundatora w dowód uznania jego wspaniałomyślności i tak wielkiej ofiarności radzcą duchownym.

Mimo podeszłego wieku brał ks. George udział we wszystkich sprawach społecznych. Nie brakło go na żadnym wiecu wyborczym, a do urny wyborczej stawił się zawsze. Nieraz jako wyborca (walman) kilkomilową podróż wózkiem odbywał, ażeby spełnić obowiązek obywatelski, a parafianom swoim dać dobry przykład. Mimo swej gorliwej pracy na rządowem probostwie przez tak długie lata, mimo, iż był przez 7 lat kapelanem wojskowym i jako pomocnik kapelana wojskowego brał udział we wojnie, nie otrzymał od rządu z okazyi złotego jubileuszu żadnego orderu, żadnego odznaczenia.

Fakt to najlepiej świadczący o prawym i zacnym charakterze obywatelskim prawdziwego kapłana.

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy.



Kościół w Połajewie z nowo wybudowaną wieżą, fundowaną przez śp. ks. George'go.

Wpływy poranne.

Tłom. z angielskiego
Teresa Panieńska i Grace Betts.

O czem myślisz najpierw zbudziwszy się rano?

Myśli pierwszej rannej godziny wpływają stanowczo na cały dzień.

Może nie przekonasz się o tem, mimo to jestto pewnikiem.

Jeśli zaczynasz dzień w trosce i przygnębieniu, rozgoryczony w duchu na los lub na ludzi, nastrajasz dzień na nutę dysonansów i nieszczęścia.

Jeśli zaś snujesz myśli o spokoju, nadziei i szczęściu, uderzasz w ton harmonii i powodzenia. Skutku nie odczujesz może zaraz, ale nastąpi on niezawodnie.

Pilnuj swoich myśli porannych. Leży to w twej mocy. W jakiembądź usposobieniu obudzisz się, powiedz sobie w pierwszej zaraz chwili: Wyciągnę z dnia tego wszystkie korzyści i przyjemności możliwe i uczynię cośkolwiek w celu pomnożenia dobrobytu i szczęśliwości świata. Zapanuję nad memi myślami, gdy pobudzać mnie będą do rozdraźnienia lub niezadowolenia.

Będę szukał jasnej strony w każdem zdarzeniu.

Jak tylko powiesz to sobie spokojnie i poważnie, uczujesz się weselszym. Troski i kłopoty nadchodzącego dnia wydadzą ci się mniej olbrzymiemi.

Potem mów: „Uzyskam pomoc do znoszenia wszystkiego co mnie dziś spotka. Wszystko co się stanie, wyjdzie mi na dobre. Uda mi się, cobądź przedsięwezmę. Nie może mi się nie udać."

Nie pozwól się zniechęcić, gdybyś w chwili opuszczenia swego pokoju, napotkał troskę lub klęskę. Zdarza się to. Kiedy przechwalamy się mocą ducha lub ciała, wystawieni bywamy często na próbę. Ukryte siły w koło nas podobne są do ludzi. Gdy uczeń przechwala swą siłę i mówi: „pobiję każdego kolegę", znajduje zwykle sposobność dowiedzenia swych słów.

Kiedy oświadczamy, że mamy dość siły, aby pokonać każdą przeciwność losu, znajdujemy zaraz sposobność wypróbowania naszych sił.

Ale to dobrze. Doświadczaj prawdy twych słów.

Uważaj troski i kłopoty jako ćwiczenie gimnastyczne, zesłane ku rozwinięciu twych duchowych mięśni. Ćwicz się ochoczo i obstawaj przy porannych postanowieniach.

Zwolna troski się zmniejszą i ujrzysz się panem okoliczności.

Ks. Teofil Gapczyński.

O Maurycym Mochnackim.

(Z papierów pośmiertnych.)

(Dokończenie).

Ale on żył mimo to tylko wiarą w szczęśliwy wynik powstania. Dlatego serce jego pławiło się w męce, gdy patrzał na to, że naczelnicy narodu, miasto walczyć do ostatka, w układy wchodzili z nieprzyjacielem i czas marnowali. Gdy widział, że pod obuchem klęski, opuszczali wodzowie ramiona,

że duch rycerski zamarł w szeregach, i stuliła się wola narodu, z duszy swojej wydobywał spiżowy ton i raz jeszcze usiłował otworzyć oczy swego pokolenia na przepaść, która niebawem miała pochłonąć wszystkie nadzieje. „Myśl pokoju i zgody — wołał w ostatniej chwili — jaśnieje przed nami w dali, jak każda niepewna nadzieja. Nie odrzucamy ze wzgardą tych darów, lecz żadna okoliczność, żaden mus, żadna kolej nie zniewoli nas do pożywania ich w niesławie, w goryczy serca i niepokoju sumienia. Co może stateczność w przedsięwzięciu i na co się wielka zdobywa cnota, to dzisiaj pokażmy przed obliczem nieba i ziemi, jeśliby się komu rozumieć podobało, że naród dzielny i bitny samemu sobie zaprzysiężonej nie dotrzyma wiary. Liczni, zbrojni, niezłomni, czegoż jeszcze nie osiągniemy mocą, zgodą i owym duchem, który wielkich przodków naszych nieraz unosił i wzmagał w najcięższych przygodach. Obróćmy wzrok nasz ku tym czasom kiedy... przemoc gnębiła mieszkańców Polski daleko liczniejszemi i boleśniejszemi, niźli teraz klęskami! Któż wtenczas ratował upadającą ojczyznę, kto wspierał poczciwych? Oto niewielka garstka, nieliczna, ruchoma, przenośna, orężna rzeczpospolita wiecznych i nieustraszonych...

Cóż nam przeszkadza odnowić ten tal świetny przykład dziejów polskich i w dalsze jeszcze czasy, niżeli konfederaci barscy przedłużyć bój krwawy? Alboż to młódź nasza nie raźna i nie nauczona własnemi piersiami odpierać zgubę od kraju? Czyż nam zbywa na sprzęcie wojennym? Mamy burzące działa, któremiśmy tylekroć przerzedzali nieprzyjacielskie zastępy. Mamy gęste lasy i puszcze jeszcze nie przetrzebione; a w tej Polsce rozległej, bujnej, niezmiernej od wschodu do zachodu, od północy ku południowi żadnego kroku uczynić nie zdołamy, żebyśmy nie spotkali to rodaków, to współziemian, pragnących dzielić nasze zamiary i niebezpieczeństwa.

W rodzinnej jesteśmy ziemi, w swoim kraju i między swoimi... Nie dokazali Rosyanie wszystkiego wzięciem wspaniałego miasta. Nie mury i pałace, ale serca polskie są ogniskiem naszej świętej sprawy, a tej twierdzy żadna moc nie weźmie, ani nie zburzy... Gdzie przenocujemy tam będzie stolica Polski....“

Tak brzmiała, ale niestety przebrzmiała bez skutku ostatnia Mochnackiego prześliczna, poetyczna pobudka do wytrwania przy sztandarze powstańczym. Powstanie chyliło się ku końcowi... Żołnierz polski zostawiał za sobą chwalebne pola zwycięstw i niepomszczone pole klęski ostrołęckiej, pozostawiał za sobą wspaniałe miasto w rękach tryumującego Paszkiewicza, pozostawiał łany ojczyste, i gęste lasy, i puszcze jeszcze nieprzetrzebione, osierocał cały lad polski, szedł na nieznaną i nieodgadnioną dolę — niedolę, przypuszczając, że idzie na tułactwo lub powrót w powrozach.

Smutnem szemrzeniem żegnały wychodźców niwy ojczyste. A gdy ostatnie oddziały armii zginęły za granicą państwa pruskiego, głuchy jęk zerwał się z nimi i przeleciał po całej ziemi polskiej...

Na terytoryum obcego państwa rozegrał się ostatni akt dziejowego dramatu. Zaszkliły się oczy żołnierzom, gdy w niesławie składali broń, gdy łamali lance zwycięskie i żegnali się z swemi orłami, ze sztandarami, co po tylekroć wiodły ich do zwycięstw i chwały. Po raz ostatni głucha rozpacz owionęła rozbrojone szeregi i w jednym bolu wszystkie zjednoczyła serca......

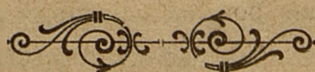
I Mochnacki poszedł na tułaczkę do Paryża. Ale i tu nie próżnował i tu walczył o swe idee postępowo-demokratyczne w najróżniejszych pismach. Tu w Paryżu zaczął pisać dramat, na który własnemi zakrwawionemi patrzał oczyma: „Powstanie narodu polskiego“ — dzieło, które ukończył w Auxerre, dokąd się przeniósł, by w zaciszu pracować i w zaciszu umrzeć 20-go grudnia r. 1835. Zeszedł z nim do grobu najwybitniejszy umysł polityczny XIX. stulecia — największy prozaik polski od czasów Skargi.

Słowo jego miało jasność błyskawicy i rozległość grzmotu. I oślepiało jak błyskawica i jak grzmot wstrząsało całem pokoleniem. Z ust jego zrywały się gromy prawd, myśl jego jaśniała jak łuna przyjazna i zaćmiewała wkoło błędne ogniki, rozpalone wysiłkami mierności.

Głos jego, za życia wołającego na puszczy, za to dziś jest żywym i żywym pozostanie i rozbrzmiewać będzie w późniejsze pokolenia.

Podawajmy późniejszym pokoleniom jego święte, dla nas biednych tak pocieszające słowa:

„Nie mury i pałace, ale serca polskie są ogniskiem naszej świętej sprawy — tej twierdzy żadna moc nie weźmie ani nie zburzy.“





Z TEATRU.

Jan Strauss: „Baron cygański“.

Operetki — jak wiadomo — znacznem się u nas cieszą powodzeniem. Mimo podwyższonych cen zapełnia się teatr po brzegi, podczas gdy na dramacie widownia pustkami świeci. Rzecz prosta, ludzie chodzą do teatru dla rozrywki, nie na to, by się wzruszać. Wszakżeż życie takie smutne, każdy ma swoje dramaty w życiu. Więc idzie na operetkę, w której życie w odświętnych się maluje barwach. Nie poruszają one żadnycyh zawiłych i dręczącycyh zagadnień, żadnym głębszym akcentem nie przemówią do intelektów i sumień. Na falach dźwięków walcowych mknie barwna ułuda... Że od nadmiaru takiej beztreściwej strawy estetycznej, jałowieją umysły i pustoszeją serca, o tem się nie myśli. A zresztą, ktoby tam zważał na takie drobnostki. A jednak należy o tem czasem pomyśleć. Warto przypomnieć sobie Francyę z czasów trzeciego Napoleona. Gdy duch germański krzepił się i rósł na wielkiej muzyce Wagnera, deprawowała się Francya Offenbachowską operetką. Po długotrwałym zaś karnawale operetkowym nastąpił popielec... pod Sedanem.

„Baron cygański“ nie należy bynajmniej do tego rodzaju płytkich i bezsensownych muzycznie operetek, któremi nowoczesna produkcya wiedeńska zarzuca wszelkie artystyczne rynki świata — jak wiadoma należy operetka do najpoważniejszych artykułów eksportowych Austryi — to też nie z jego powodu napisano słowa powyższe. Nasuwają się one mimowoli, na widok tego istnego szału operetkowego, który naszą publiczność ogarnął, ze szkodą dla niej samej, ze szkodą dla prawdziwej sztuki, która z kupletem nic nie ma wspólnego. Nie odstręczamy nikogo od operetki zresztą, lecz pragnęlibyśmy sympatyi przyczynić dramatowi także.

Lecz wróćmy do przedmiotu. „Baron cygański“ zbyt ustaloną ma sławę jako dobre dzieło muzyczne, aby należało dużo słów tracić. Podobnie jak „Zemsta Nietoperza“ bywa on w pierwszorzędnych teatrach przedstawiany przez siły operowe. U nas nie dostąpił tego zaszczytu.

Tytułową rolę objął p. Sawicki. P. Krajewska jako Saffi znaczne miała powodzenie. Pani Lenartowicz (Czi-

pra) współzawodniczyła z p. Celińską co do sprawności wprost nieprawdopodobnie wygimnastykowanego tremolo, pozatem śpiew jej odznaczał się niepoślednią siłą ekspresyi i świadczył o znacznej rutynie śpiewaczej artystki. Najlepiej wypadła aktorska strona kreacyi p. Lenartowicz, która tak w masce jak grze była znakomita. Zupełnie w swoim żywiole był p. Kosiński i wywoływał swemi komicznemi apercus grzmiącą wesołość w audytoryum. To samo należy powiedzieć o p. Zakrzewskim, w którym posiadamy dobrego, rutynowanego śpiewaka i pełnego werwy aktora. Sympatyczny artysta bardzo dobrze prezentuje się na scenie, czego nie o wszystkich w równej można powiedzieć mierze. W roli Otokara występował p. Balewicz. P. Kopczyński zaś z zacięciem odśpiewał pieśń werbownika. Na miejscu była także p. Palczewska jako guwernantka córki „króla wieprzowego.“

Trudny czardasz, wykonany przez pp. Faliszewskich z współudziałem dwóch dalszych par, powszechny — jak zwykle, wywołał aplauz.

Chóry, słuszna duma naszej opery, wywiązały się z trudnego zadania znakomicie. Także orkiestra nie dawała do nagany powodu.

Specyalne uznanie należy się tak reżyseryi jak kapelmistrzowi p. Mieczysławowi Eichstaedtowi, który prowadził rzecz z wielką precyzyą, w tempie żywem i bujnem i z zupełnem powodzeniem wywiązał się z zadania, stawiającego do poczucia muzycznego dyrygenta i jego sprawności niepośledniej wymagania.

Inscenizacya, dekoracye i kostyumy były europejskie.

R.

Miłość jest osią, na której Bóg stoi,
Poezyą w życiu, a życiem w poecie,
Cierniem, z którego ofiara się plecie;
Może i kluczem do szczęścia podwoi,
Bezdenną czarą, co przyrodę poi,
Berłem mężczyźnie, koroną kobiecie.

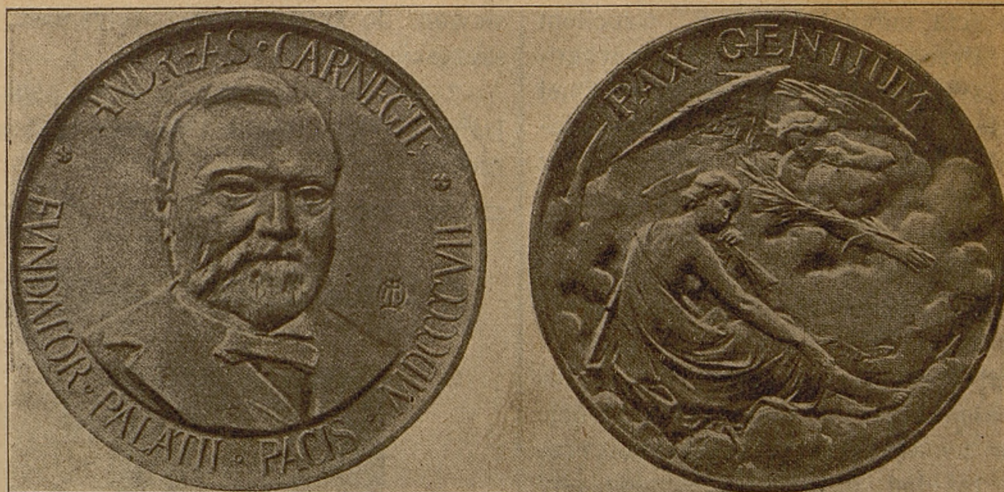
Deotyma.

* * *

Błogosławieni, którzy światło niosą,
Oblani wschodu słonecznym szkarłatem!
Świat uznojone czoło krwawą rosą,
Pochyli przed ich cichym majestatem,
I gdy się ciemność wszędzie rozzuchwali,
Od ich promienia nowy świt zapali.

Władysław Bełza.

* * *



Medal ofiarowany r. 1907 A. Carnegiemu w dowód uznania za fundacyę Pałacu Pokoju w Hadze.

Andrzej Carnegie.

Dla czego czytać bajki z „Tysiąca i jednej nocy,“ gdzie dziecko ubogie staje się królem i umiera znowu w łachmanach? Prawda i życie obecne składają się na innego rodzaju opowieści, niż bajki wschodnie, w których wywyższenie ubogich do godności królewskich zależy po części od kaprysu jakiego sułtana.

Do takich opowieści bajecznych zaliczyć można życie Andrzeja Carnegiego. Wynalazek maszyn fabrycznych pozbawił chleba i rodziny ojca Andrzeja Carnegiego. Wywędrował on ze Szkocyi wraz z synem, kilkoletnim chłopcem, na drugą półkulę próbować szczęścia. We fabryce nici znalazł mały Andrzej zatrudnienie z płacą pięciu dolarów, czyli dwudziestu marek miesięcznie.

Zajęcie jego ograniczało się na doglądaniu kurków maszyny. Jeżeli Pan Bóg dozwolił, że taki wynalazek powstał — myślał sobie mały Andrzej — musi więc to być z korzyścią dla człowieka. Zdusił więc w sobie wszelką niechęć i odrazę i spoglądał odważnie potworowi w twarz. Starał się poznać olbrzyma, gdyż czuł, że gdy jego sekret posiędzie, z niewolnika stanie się panem.

Otóż pewnego dnia werkmistrz, który obserwował jego zajęcie się maszyną i jego zgrabne ruchy, powierza Andrzejowi, w dwunastym roku życia, nadzór nad jednym działem.

W krótkim zaś czasie przekonują się, że dziecko zna cztery reguły działania, przenoszą go więc do pracy biurowej. Andrzej Carnegie doświadcza więc na sobie, że im więcej kto umie, tem wyżej go cenią. Rozglądając się w koło siebie, zauważył bystrym zmysłem spostrzegawczym, że Ameryka, która nie posiada dostatecznej ilości dróg, mimo to pragnie żyć w nieustannej komunikacyi, wskutek tego, zatrudnia wielu urzędników przy telegrafach. Uczy się więc tego zawodu poza godzinami biurowemi, i uzyskuje stopień pierwszy w rozpisanym konkursie. Przechodzi więc do Ohio Telegraph Company. Lecz po pewnym czasie uzyskuje miejsce w Pensylvania Rail road, najznaczniejszem towarzystwie kolejowem w owym czasie.

Andrzej Carnegie jest zadowolony ze swego stanowiska. Lecz Opatrzność przeznaczyła Andrzejowi Carnegie co innego i objawiła mu się w postaci pana Scotta, który w młodzieńcu odnalazł współziomka. Bierze go więc w opiekę i doradza mu kupić akcye pewnego towarzystwa za zaoszczędzone pieniądze. Andrzej Carnegie wierzy mu i kupuje. Odtąd złoto zaczyna płynąć. Lecz nie używa go na przyjemności, kupuje tylko książki, aby się kształcić.

Nie zdziwiło go też wielce, gdy po pewnym czasie Opatrzność w osobie jego opiekuna, który go zrobił swoim osobistym sekretarzem, rzekł do niego:

— Zostałem powołanym na wyższe stanowisko, proponowałem więc ciebie na moje miejsce. Jesteś przyjęty.

Miał wówczas lat ośmnaście i został dyrektorem najwpływowszego towarzystwa kolei żelaznych w Stanach Zjednoczonych.

Po raz trzeci objawiła się Opatrzność Andrzejowi Carnegie podczas inspekcyi budowy nowej linii kolejowej w postaci człowieka lichej powierzchowności, który go prosił prawie błagalnym tonem o chwilę rozmowy.

Spytałem go jak się nazywa, opowiada sam Carnegie, odrzekł: „T. T. Woodruff.“ Jakiego zawodu? „Wynalazca.“ Przeszedłem mimo. Lecz pomyślawszy, że miałem dużo szczęścia w życiu, że mógłbym też tego

szczęścia innym użyczyć, wróciłem się. Przedemną stał wynalazca wagonów sypialnych. W kilka dni później byliśmy wspólnikami, a po dwóch latach podjąłem znaczną część zysków przypadających na mnie. I pomyśleć, że o mało byłbym opuścił najlepszą okazyę wzbogacenia się!

Lecz Andrzej Carnegie nie jest tego rodzaju człowiekiem, aby majątek zdobyty własną inteligencyą z współudziałem całej generacyi ludzi, obrócić tylko na własną korzyść. Nie, on pragnie też dać drugim i dopomódz, aby inni ludzie również doszli do bogactwa. Zważywszy, że jednem z najważniejszych czynników wzbogacenia się jego była wiedza, którą tak mozolnie zdobywać musiał, zakłada biblioteki, których obecnie już jest trzy tysiące, a ma w planie założyć jeszcze takich bibliotek dwa tysiące. Sam zaś oznaczył dzieła, które się w nich znajdować mają, a wybrał takie, w których człowiek poznaje, że tylko osobiste zdolności i nabyte wiadomości składają się na polepszenie własnego bytu.

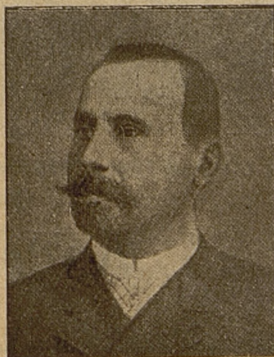
Druga fundacya równie wielkiej doniosłości jak pierwsza, wskazuje, że Andrzej Carnegie nie zapomniał swych uciech i cierpień jako robotnik. Zachował w pamięci ciągły hałas maszyn i chciał, by ludzie ci słyszeli także inne tony, stworzył więc sale koncertowe, których jest dwadzieścia.

Chcąc, aby też oczy przywykłe do brudnych zapylonych przedmiotów, mogły spocząć na rzeczach pięknych, założył galerye obrazów i muzea. Także mnóstwo szkół i szpitali zawdzięcza uboga ludność amerykańska wspaniałomyślności króla stali. Znana zaś powszechnie jest rozrzutna szczodrość, w imię której popiera ruch pacyfistyczny, budując gmachy dla kongresów pokojowych i popierając wielomilionowemi dary akcyę i agitacyę przyjaciół pokoju. Nawet o cichem bohaterstwie tych, którzy czasami pokoju ratują życie ludzi z niebezpieczeństwa, nie zapomniał wielki dobroczyńca ludzkości, tworząc dla Niemiec fundacyę pięciomilionową. Carnegie bowiem wszystkich ludzi uważa za braci i nie ogranicza swej dobroczynności tylko na Stanny Zjednoczone.

Oto kilka szczegółów z życia tego człowieka, który z nizin ubóstwa żelazną pracą i niezrównanym talentem wyniósł się na najwyższe szczyty bajecznego wprost bogactwa, a który darów, jakich nie poskąpiła mu Opatrzność, używa jak prawdziwy chrześcianin, aby ulżyć nędzy współbraci i rozsiewać do koła siebie pomyślność i szczęście.

Zaiste jest to postać jakoby z bajki. Bajka w nim odżyła i wcieliła się w rzeczywistość...

Z bieżącej chwili.



Dr. Witold Korytowski,

były minister finansów austryackich, przybył do miasta naszego wraz z małżonką, wracając z pogrzebu swej matki ś. p. Anastazyi Korytowskiej.

* * *

† Hr. Ballestrem.

Były długoletni prezydent parlamentu niemieckiego i wybitny przywódca centrowy hr. Ballestrem, zakończył żywot doczesny w ostatnich dniach zeszłego miesiąca i roku na zamku swym w Pławnowicach pod Tarnowskiemi Górami na Górnym Śląsku, przeżywszy lat 76. Śp. hr. Ballestrem, którego Ojciec św. Leon XIII. mianował szambelanem papieskim, zasiadał w parlamencie od roku 1874 i zastępował okręg opolsko-lubliniecko-toszecko-gliwicki. Godność prezydenta parlamentu piastował zmarły od roku 1898, aż do czasu złożenia mandatu poselskiego.

Sędziwy przywódzca centrowców okazywał zawsze nadzwyczajną uległość cesarzowi Wilhelmowi, a jak był usposobionym dla nas, świadczy o tem następujące zdanie, które wypowiedział o nas: „Man muss die polnischen Agitatoren auf Maul klopfen.“ („Trzeba polskich agitatorów po pysku trzepać.“)



Hr. Ballestrem.

Nieprzychylne to dla Polaków usposobienie hr. Ballestrema tem bardziej uderzało, ponieważ było wiadomem, że hrabia był wychowankiem polskich Jezuitów we Lwowie i dobrze językiem polskim władał.

* * *

Nowe ofiary lotnictwa.

Jak cały rok ubiegły tak też i ostatnie dnie jego zapisały się krwawemi głoskami w lotnictwie, gdyż długi szereg ofiar powiększył się jeszcze w ostatnich dniach o kilka nazwisk. Oto tragiczne notatki:

Lotnik Lafond z podróżnym Tola wzbili się w powietrze z lotniska w Sassy les Moulineux w celu odbycia podróży napowietrznej z Paryża do Brukseli. Wkrótce jednak po wzlocie aeroplan ich przewrócił się uderzony wiatrem i spadł ze znacznej wysokości. Lafonda i Tolę wydobyto z pod szczątków aeroplanu w stanie tak ciężkim, że obaj skonali w drodze do szpitala.



† Cecil Grace.

Znany lotnik amerykański Hoxey, dokonywując lotu w Los Angelos, w stanie Kalifornii, spadł z aeroplanem z wysokości 200 metrów i zabił się na miejscu. Aeroplan uległ zdruzgotaniu.

Taki sam los spotkał także słynnego lotnika angielskiego Cecila Grace'a, który uległ śmierci podczas ostatniego wzlotu nad kanałem La Manche.

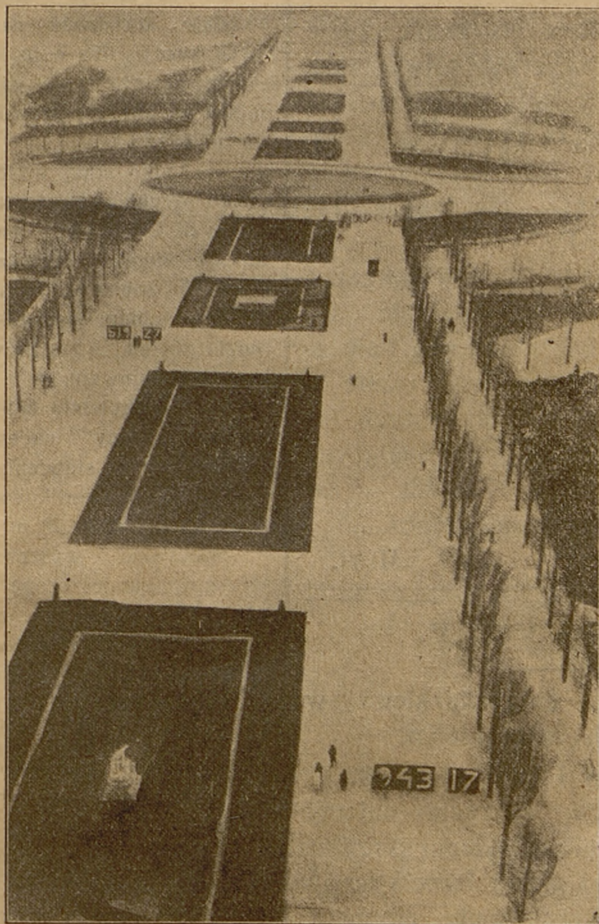
* * *

Znaki cyfrowe dla lotników.

Wykazała się niezbędną potrzeba zaprowadzenia dla lotników celem oryentacyi tablic czyli znaków cyfrowych, które przeważnie mają być umieszczone na wieżach lub dachach wysokich kamienic. Sprawą tą zajął się świeżo prezydent klubu lotników p. Quinton w Paryżu. Próba urządzona z wieży Eiffla wydała nadspodziewanie dobre rezultaty. Olbrzymie dwu-

metrowe cyfry były doskonałą dla lotników wskazówką w ich napowietrznej podróży. Cyfry te oświetlone są podczas nocy i dni mglistych lub pochmurnych żarowem światłem.

* * *



Znaki cyfrowe dla lotników·

Dochody Rockefellera.

Według ogłoszonego sprawozdania kasowego „Standard Oil Company“, potężnego trustu naftowego, którego inicyatorem był Rockefeller, trust wypłacać będzie swym akcyonaryuszom kwartalną dywidendę 10 milionów dolarów, czyli 40 milionów marek. Rockefeller, który jest posiadaczem $^1/_4$



John D. Reckeffeler.

wszystkich akcyj, od roku 1882 otrzymał od trustu ogółem około 600 milionów marek. Jeśli się do tych dochodów doliczy procenty, które Rockefellerowi przynoszą jego kapitały, oraz zyski pochodzące z udziału w wielkich spółkach kolejowych, oraz z operacyj giełdowych, majątek Rockefellera w przybliżeniu oceniać można na 1800 milionów marek.



Miljarderzy nowojorscy w Operze.

Miejsca w operze Metropolitan są na bieżący sezon na wszystkie przedstawienia częścią zakupione, częścią zaabonowane. Zważywszy, że krzesło w parkiecie kosztuje 5 dolarów, a krzesło na trzeciem piętrze (na pierwszem i drugiem bowiem piętrze znajdują się wyłącznie loże) trzy dolary, można sobie wyobrazić, ile bogaty mieszkaniec Nowego Yorku wydaje na operę. Ale oprócz znakomitych przedstawień jest tam jeszcze coś innego, nierównie ważnego i godnego widzenia, a tem jest tak zwane „najlepsze towarzystwo.“

Są to naturalnie ludzie bogaci — nawet na tamtejsze stosunki. Kupują oni loże i posiadają je albo na zawsze, albo dzierżawią je od właścicieli, którymi są akcyonaryusze opery. W razie deficytu muszą pokrywać wszelkie koszta — co wcale nie jest drobnostką — bywały już bowiem lata, w których za przyjemność i zaszczyt posiadania lub dzierżawienia loży musiał każdy zapłacić kilkanaście tysięcy dolarów. Czy poświęcają te sumy dla tego tylko, aby słyszeć codziennie dobrą muzykę, to pytanie, na które niejeden odpowiada przecząco.

Przychodzą bowiem zawsze godzinę po rozpoczęciu przedstawienia. Wtedy rozchylają się w jednej loży po drugiej cieżkie aksamitne firanki przy drzwiach i na tle ciemnego aksamitu ukazują się panie w przepysznych tualetach, pokryte brylantami i w stanikach, wyciętych aż do ostatnich granic możliwości. Z wdziękiem zajmują miejsca i zamiast na scenę, patrzą na znajome damy, oceniając okiem znawcy kosztowność sukien i drogich kamieni,

Niejeden stawia sobie pytanie, dla czego bogaci Amerykanie, nudzący się śmiertelnie podczas przedstawienia, chodzą wogóle do opery? Pytanie to zupełnie jest uzasadnione, tem więcej, że wytworne towarzystwo odsuwa się starannie od reszty publiczności, i że na balach i obiadach dosyć ma sposobności pokazywania drogich ubrań i szczycenia się milionami! Ale to rzecz bardzo jasna. „Towarzystwo“ musi dowieść swej wielkości tem, że ukazuje się ludziom, których uważa za niżej stojących. Gdyby miljarderzy żyli tylko pomiędzy sobą, to nie mógłby nikt podziwiać ich bogactwa i — zazdrościć im ich miljardów! W operze zaś mają aż nadto okazyi pysznienia się majątkiem, i w tak zwanej „złotej podkowie,“ t. j. w pół księżycowym szeregu lóż, gromadzą się wszyscy ci, którzy się sami wywyższają ponad resztę ludzi.

Są też tam naturalnie i tacy, którzy znają się na muzyce, większa część jednak bogaczy uważa chodzenie do opery za obowiązek towarzyski. Kto kilka osób prosi na obiad, zawozi ich potem na operę, lecz zaproszeni goście zaglądają najpierw do gazet, aby się przekonać, jak wysoko zaszczyt ten ocenić wypada. Nie zależy to bynajmniej od opery, tylko od gaży, jaką występujący w niej artyści otrzymują. Każdy woli naturalnie ten śpiew, który najwięcej kosztuje — to też goście czują się obrażeni, jeżeli są zaproszeni na operę, w której nie występuje artysta lub artystka, nie pobierająca przynajmniej kilku tysięcy dolarów co wieczór!

Właściciele lóż przekładają nadewszystko operę włoską, ponieważ podczas tych przedstawień pozostaje

teatr w pełnem oświetleniu. Można więc podziwiać innych i być podziwianym. Zaledwie panie zajmą miejsca, wyciągają lornetki i przyglądają się sobie nawzajem, lecz tylko wtedy widać zadowolenie na ich twarzach, gdy są przekonane, że tualety ich równie są piękne, jak tualety innych pań. Z uczuciem zaś serdecznej litości patrzą na znajomą, która już drugi raz ma w operze tę samą suknią. Czyżby majątek jej chwiał się na dobre?

Po podniesieniu kurtyny myślą panie o tem samem, o czem myślały poprzednio, to jest: o własnych i o cudzych strojach i klejnotach. Dawniej rozmawiano w lożach tak głośno, jak w salonie — lecz od czasu, kiedy „podrzędna“ publiczność energicznie przeciw temu zaprotestowała — rozmawiają panie tylko półgłosem i milkną, gdy kurtyna spada, aby znów się uważnie przypatrywać znajomym.

W pauzach patrzą też i zwykli śmiertelnicy na „złotą podkowę“ i lornetują piękne i strojne damy, informując się w programach, do kogo ta lub owa loża należy. Wszystkie bowiem nazwiska właścicieli lóż są codziennie na ostatniej karcie programów wydrukowane — przecież ludzie mają podziwiać bogaczy!

Nadzwyczajny efekt wywiera też światło w sali teatralnej. Dawniej wcale nie było przytłumionem, dla tego uskarżały się milionerki, że w zbyt jaskrawem świetle uwydatniają się rażąco wszelkie wady płci. Dyrekcya opery zarządziła więc tak zręczne przyciemnienie, że płeć dam wygląda cudownie — nawet chude panie nie rażą ani kościstemi, ani otyłe pełnemi kształtami! Wszystkie są piękne i zgrabne. Siedzą w długich rzędach obok siebie jak lalki woskowe tworzące tło dla klejnotów i sztuki krawieckiej, i wyglądają tak, jak gdyby wszystkie ulane były w jednej formie i z jednego wyszły pudełka. Przychodzą na operę dla tego, aby je podziwiano i nie myślą nawet o tem, żeby się odznaczyć rozumem lub dowcipem. I ci, którzy patrzą na nie — też o tem nie myślą.

W antraktach chodzi „złota młodzież“ od loży do loży, składa wizyty i rozmawia z paniami o ich strojach i klejnotach. Publiczność „złotej podkowy“ nie zostaje nigdy aż do końca przedstawienia — na palcach prawie można policzyć te panie, które słyszały uwerturę lub finale. Gdy kurtyna podnosi się po raz ostatni, zabiera się publiczność do odejścia — wszakże nikt tu nie przyszedł dla muzyki! Wystarcza zupełnie to, że słyszano primadonnę, pobierającą tysiąc, lub tenora, pobierającego trzy tysiące dolarów co wieczór. Zresztą czas milionerów bardzo jest ograniczony, bo podczas kiedy „podrzędna“ publiczność z natężoną uwagą słucha ostatnich aryj pędzą automobile bogaczy do domu, gdzie się jeszcze koniecznie bal odbyć musi. Ponieważ bale w Nowym Yorku nie zaczynają się nigdy przed dziesiątą, przeto idzie każdy chętnie poprzednio na operę, po prostu — dla zabicia czasu przedbalowego!

W taki to sposób używają bogacze amerykańscy muzyki! Jedynie dobrem jest to, że bez szemrania bajeczne wydawają sumy na utrzymanie opery, w interesie rzeczywistych lubowników i znawców, nie mających tak pełnych kieszeni. Zresztą — zakryj Muzo oblicze twoje i płacz......

M. P.

Nasze ryciny.

Cokół pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, strona lewa.

Rycerz polski i jego pachołek.

W dzisiejszym zeszycie dajemy Szan. Czytelnikom w dalszym ciągu na karcie albumowej grupę trzecią, znajdującą się po lewej stronie pomnika. Przedstawia ona rycerza polskiego o pięknych, regularnych, słowiańskich rysach, usta okala polski wąc sumiasty, głowę pokrywa szyszak, szyję chroni łuska stalowa. Rycerz zakuty od stóp do głowy w ciężką stalową zbroję, przy boku ma miecz olbrzymi, na piersiach wizerunek Matki Boskiej, prawą rękę podniósł w górę trzymając w niej rodzaj buławy czy brzeszczota, głowę zwrócił w tył i patrzy za siebie wzrokiem pełnym dzikiego zapału wojennego, jakby przyzywał towarzyszów, aby spieszyli za nim dokończyć dzieła pogromu; lewa ręka na ciężkiej, potężnej wsparta tarczy. Przed rycerzem polskim stoi schylony ku ziemi jego pachołek, ubrany w skórzany kaftan, z ciężkim trudem usiłuje zebrać z ziemi i w górę podźwignąć zdobyte na Krzyżakach sztandary.

KRONIKA.

Za otrzymane bardzo liczne życzenia noworoczne dziękujemy staropolskiem: Bóg zapłać!

Redakcya.

— **Wyrzućmy z domów naszych polskich wszelkie szkodzące nam blaty niemieckie. Niech każdy dba o to, by w domu polskim znajdowała się tylko gazeta polska, bo tylko polska gazeta jest prawdziwą przyjaciółką domu polskiego.**

— **Tylko stałą wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.**

— **Na Czytelnie ludowe na „fundusz Czytelników „Pracy““** nadesłali w dalszym ciągu z powodu przedstawienia „Jasełek“ pani Pauli Wężyk pp. A. Gierlikowski z Sarbi 3 mrk., M. Jasiczak z Witten 28 mrk. 61 fen.

Specyalne wyszczególnienie i bliższe szczegóły zamieszczone będą w „Naszym kąciku“ w przyszłym zeszycie. W dalszym ciągu nadesłał na ten sam cel p. Franciszek Lekki z Liwna w Bośni 65 fen.

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie

— **Gdzieby się mógł osiedlić** w W. Ks. Poznańskiem **rodak jako adwokat** i liczyć na powodzenie?

Łaskawe informacye prosimy nadsyłać do Redakcyi „Pracy.“ Pospiech pożądany.

— **Ku uczczeniu zasług** ś. p. ks. prałata Wawrzyniaka wydała „Złota Skarbona,“ Kasa oszczędności w Poznaniu, Rybaki 6, pamiątkowy znaczek z portretem jego, — Jeszcze za życia zmarłego myśl ta powzięta została. Zarząd „Złotej Skarbony“ zwróćił się z nią do księdza prałata i uzyskał nietylko zezwolenie, ale i sympatyczne przyjęcie projektu.

Jednocześnie z wydaniem znaczków poczyniono starania o zastrzeżenie naśladownictwa. Znaczek ten 40 fenygowy służy do wlepiania w książeczki „Złotej Skarbony,“ zajmuje cztery pola czyli miejsce czterech dotychczasowych znaczków, które i nadal będą w obiegu. Polecić je także można jako pamiątkę.

Znaczki „Złotej skarbony“ nabywać można w następujących składach: H. Błażejewski, św. Marcin 68. St. Chmielewski, W. Berlińska 54. J. Czepczyński, St. Rynek 8. St. Dressler, Śródka Rynek 12. W. Dworczak, N. Rynek 9/10. A. Dybicka, św. Marcin 61. A. Dziedziuchowiczowa, Rybaki 6. P. Dzikowska, św. Marcin 32. K. Ignatowicz, St. Rynek 67/69. H. Iłowiecka, Ces. Wilhelma 23. E. Iłowiecka, Strzelecka 23/24. W. Jagodziński, św. Marcin 34. L. Kalas, ul. Forteczna 18. J. Kamiński, Nąst. tronu 12. T. Lewandowski, M. Garbary 8. Muthówna, Chwaliszewo 76. T. Neyman (W. Wojciechowski), św. Marcin 46. M Okoniewska, Teatralna 6. B. Śniegocki, Rycerska 38. Z. Śniegocki, W. Berlińska 63. M. Stawujek, W. Garbary 4. J. Wawrzyniak, pl. Królewski 6. J. Wolińska, Szeroka 10. M. Wrzesiński, pl. Wroniecki.

Biuro „Złotej Skarbony“ Rybaki 6 otwarte w wtorki i w czwartki od godz. 4—6-tej w niedzielę od pół do 12-tej do 1-szej.

Sprawozdanie z działalności Towarzystwa Ludoznawczego w Poznaniu.

Towarzystwo Ludoznawcze ukonstytu-



Poranek zimowy.

owało się dnia 22-go marca 1910 r. Celem jego jest badanie i zachowanie bytu i kultury ludu polskiego. Zarząd składający się z 5 osób, wybrano na lat 3. Obok zarządu wybrano Komisyę doradczą, składającą się z osób dwunastu również na lat 3.

Członków zwyczajnych liczy Towarzystwo 170. Członkami dożywotnimi są: pan hr. Zamoyski z Kórnika, pani hrabina Marya Kwilecka z Oporowa i pani hrabina Łącka ze Lwówka.

Od samego początku istnienia zwrócił Zarząd z Komisyą doradczą szczególną uwagę na to, aby zebrać okazy kultury i bytu ludu polskiego. Tych okazów posiada Towarzystwo już przeszło sto numerów.

Do ich uzupełnienia przyczyniła się nie mało tutejsza ludność bamberska, która z chęcia ofiarowawła do zbiorów malownicze stroje tak kobiet jako i mężczyzn. Jakiego rodzaju są nagromadzone okazy, o tem rozwodzić się nie potrzeba, ponieważ w pismach naszych kwitowaliśmy szczegółowo. Tu wszakże podnieść należy, że już teraz przystąpić można do urzeczywistnienia rzuconej niegdyś myśli stworzenia działu ludoznawczego w muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Przeprowadzenie tej sprawy nie małych wymaga zachodów i ofiar. Znaleźli się wszakże dobroczyńcy, którzy uznając doniosłość celu przyczynili się datkami pieniężnemi do dzieła i fundowali szafy. Za tym przykładem, nie wątpimy, pójdą wszyscy ci, — którzy w dziedzinie ludoznawstwa ożywieni są gorącem pragnieniem zachowania tego, co powinno nam być drogiem.

Składki zwyczajne wpływały nie zbyt regularnie. Byli nawet tacy, którzy przesłanych im mandatów nie przyjęli. Mandaty te, za które porto ponosi kasa, uważaliśmy za sposób najprostszy , a dla członków zamiejscowych za najwygodniejszy Jeśli mimo to okazały się może niepraktycznemi, to prosimy interesentów, aby składki z własnej inicyatywy przesłać raczyli przekazem na ręce skarbnika.

Wszystkie przedmioty do zbiorów przyjmujemy nadal z wdzięcznością. Przesyłki odnośne adresować prosimy na ręce prezesowej.

Za wszelkie dary dotychczasowe składamy serdeczne podziękowanie.

Poznań, w grudniu 1910.

Zarząd Towarzystwa Ludoznawczego.

Helena Cichowiczowa, prezesowa (Plac Wilhelmowski 18). Dr. Bol, Erzepki, w. prez., Konstanty Kościński, sekretarz. Marya Grudzielska. w. sekret. Dyrektor dr. Kazimierz Hącia, skarbnik, (Bank Włościański). Wojciech Trąmpczyński, doradca prawny.

Komisya doradcza:

Hr. Czarnecka z Golejewka. Wiesława Cichowiczówna. M. Haza Radlic. Hr. Kwilecka z Dobrojewa. Janowa Leitgebrowa. M. Halina Łebińska. Hr. Mielżyńska z Iwna. Hr. Mycielska z Gałowa. Morawska z Oporowa. Dr. Opielińska ze Środy. Wanda Potworowska z Goli. Stanisława Ruczyńska. Hr. Żółtowska z Godurowa.

Radca Fr. Chłapowski. Bernard Chrzanowski. Prof. Karwowski. Hr. Franciszek Kwilecki. Ks. Ark. Lisiecki. Dr. Rydlewski.

— **Chełmno,** Prusy Zach. — Dnia 3-go b. m. obchodził w mieście naszem p. J. Rybicki dwudziestopięcioletni jubileusz założenia interesu swego, który z każdym rokiem coraz bardziej prosperuje Pan R. jest ogólnie szanowanym obywatelem piastującym między innemi urzędy kościelne i miejskie.

— **Koncert.** Donoszą nam, że 17-go lutego odbędzie się w Poznaniu na sali Akademii koncert naszego młodocianego a już tak zaszczytnie znanego artysty-skrzypka Zdzisława Jahnkego, z towarzyszeniem orkiestry pod osobistą dyrekcyą jego mistrza, profesora Aleksandra Pecznikowa z Berlina.

Tydzień później wystąpi młody artysta w Berlinie w Beethovensaal, gdzie również prof. Pecznikow obejmie dyrekcyę orkiestry berlińskiej Filharmonii.

Nekrologia.

† **Ś. p. ks. Łukasz Nowakowski,** długoletni proboszcz w Imielnie, w dekanacie niechanowskim, dnia 31-go z. m. i r. — **Ś. p. Władysława z Ritterów Dobrzycka,** dnia 28-go z. m. i r. w Poznaniu, przeżywszy lat 25. — **Ś. p. Walerya Szreybrowska,** dnia 29 z. m. i r. w Wilkowyi pod Jarocinem. — **Ś. p. Michalina z Plecińskich Goralska,** dnia 29-go z. m. i r. w Poznaniu. — **Ś. p. Franciszka z Rządkowskich Domagalska,** dnia 28-go z. m. i r. w Poznaniu. — **Ś. p. Józef Karchowski,** dnia 30-go z. m. i r. w Nekli. — **Ś. p. Bolesław Opole Bronikowski,** były właściciel Marszałek w W. Ks. Poznańskiem, dnia 30-go z. m. i r., przeżywszy lat 55 w Szczypiornie. Zwłoki złożone dnia 3-go bm. do grobu familijnego w Doruchowie pod Ostrzeszowem. — **Ś. p. Bolesław Markiewicz,** dnia 2-go b. m. w Poznaniu w 44-tym roku życia. — **Ś p. Karol Leichert,** dnia 2-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Joanna z Spychałowiczów Cichowiczowa,** dnia 27-go grudnia 1910 r. w Poznaniu, przeżywszy 33 lata. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu A. Br. w S.** — Numera, w których zamieszczona była powieść „Wydrążona igła“ wyczerpane. Powieść ta w osobnej odbitce nie wyszła.

— **Pana Dra Stanisława Łabendzinskiego** upraszamy o łaskawe podanie nam swego adresu, celem porozumienia się w sprawach redakcyjnych.

Nowe książki i treść pism.

„Zjednoczenia“, organu Zjednoczenia Towarzystw kobiecych oświatowych na rzeszę niemiecką wyszedł zeszyt I-szy na rok bieżący i zawiera następującą treść: Doniesienia Zarządu. — Życzenia Noworoczne. — Noworoczne hasła. — O zadaniach i celach naszych stowarzyszeń. — Życie to walka. (Wiersz). — Spieszmy na walne zebranie. — Kilka słów o „Wirach“ Sienkiewicza. — Wystawa robót kobiecych w Toruniu. — Wiadomości z ruchu wstrzemięźliwości. — Do Redakcyi „Głosu Wielkopolanek“. — Z naszych Towarzystw. — Pokwitowanie. — Przegląd książek i czasopism. — Ogłoszenia.

Nauka czytania i pisania dla dzieci napisał Marjan Falski, obrazkami ozdobił Jan Rembowski.

Elementarz jako pierwsza książka do nauki odgrywa w życiu każdego dziecka niezmiernie ważną rolę. Wybór odpowiedniego elementarza decyduje nieraz o przebiegu całej nauki początkowej. Elementarz z ilustracyami brzydkiemi, z suchą i nudną metodą nauki zabija w dzieciach zainteresowanie do książek i zniechęca do nauki wogóle. — W polskiej literaturze dotkliwie był odczuwany brak elementarza, któryby tę pierwszą naukę urozmaicił i ożywił, uczynił z niej naukę rozwijającą umysł dziecka, i któryby zarazem cały system nauki czytania i pisania wyzwolił z dotychczasowej rutyny i postawił na poziomie wiedzy spółczesnej. Taką książką pragnie być wydany obecnie elementarz M. Falskiego p. n. „Nauka czytania i pisania dla dzieci“.

„Nauka czytania i pisania“ M. Falskiego oparta jest na nowej oryginalnej metodzie, która rozkłada naukę na szereg łatwych stopni, ucząc czytania na krótkich opowiadaniach i powiastkach, uzupełnionych wzorami dla ćwiczeń w rozbiorze głosowym wyrazów i w nauce liter. Nauka czytania jest ściśle związana z nauką pisania i z pogadankami o rzeczach. Dzięki tej metodzie uczniowie zdobywają umiejętność czytania samodzielnie, nauka jest łatwa, zajmująca i rozwijająca umysł. Szkodliwe z wielu względów sylabizowanie, czytanie wyrazów bez związku i tekstów obcych dla umysłowości dzieci zostało w metodzie M. Falskiego usunięte.

„Nauka czytania i pisania“ M. Falskiego jest bogato ilustrowana w kolorach przez artystę malarza J. Rembowskiego. Cała książka w najdrobniejszych szczegółach jest wykonana nadzwyczaj starannie i pięknie, jest pierwszym prawdziwie artystycznie wydanym elementarzem nietylko w polskiej lecz i w powszechnej literaturze. Do „Nauki czytania i pisania“ dołączone są w oddzielnej książeczce „Wskazówki dla nauczyciela“, które podają sposób poprawnego prowadzenia nauki czytania i pisania. „Wskazówki“ napisane są bardzo popularnie i szczegółowo, dzięki czemu prowadzenie nauki nie przedstawia dla nauczyciela żadnych trudności. Cena egzemplarza oprawnego wraz ze „Wskazówkami dla nauczyciela“ 1 rb. 50 kop. Nabyć można we wszystkich księgarniach.

Książkę tę najgoręcej polecamy.

Reklamy.

Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłość górą wszędzie.
Z wiary waszej wola wasza,
Z woli waszej czyn wasz będzie.
Zygmunt Krasiński.

Swaty.



KARNAWAŁ.

Czas od świąt Bożego Narodzenia do środy popielcowej nazywamy karnawałem. Słowo to pochodzi od wyrazów łacińskich: „caro vale!“ (czytaj: karo wale), co znaczy po polsku: „mięso bywaj zdrowe!“ Już od wieków różne ludy chrześcijańskie przed nadchodzącym wielkim postem żegnały mięso wesołemi zabawami i ucztami mięsnemi. Zabawy te we Francyi i we Włoszech, gdzie najpierw powstał karnawał, przypominały żywo pogańskie uciechy ku czci bożka pijaństwa Bachusa. — Karnawał włoski, a zwłaszcza rzymski i wenecki, jest dotąd szeregiem zabaw ulicznych, w których bierze udział lud cały bez wyjątku.

W dawnej Polsce huczne też były zabawy karnawałowe, zapustne z maskaradami i wiejskiemi kuligami. Ludzie zamożniejsi urządzali je po największej części w ten sposób: Do pierwszego lepszego dworku zajeżdżała młodzież tłumnie z muzyką i śpiewami. Gospodarstwo przyjmowali ich z otwartemi ramionami, zwłaszcza jeżeli mieli dorosłe córki. Zabawa rozpoczynała się na dobre i trwała nieraz do rana. Przybyli zabierali wreszcie domowników ze sobą i tak zwiększone towarzystwo udawało się do następnego dworu, gdzie zabawa rozpoczynała się na nowo. Tańczono i bawiono się często dzień i noc. Gdy zjedzono i wypito, co było przygotowane, całe towarzystwo udawało się dalej i dalej, aż z czasem taki kulig dochodził do kilkudziesięciu sań.

A co to było uciechy w takiej jeździe! Umysły, podniecone zabawą i trunkami, wysilały się na coraz nowe żarty, na coraz lepsze figle. Jazda taka kończyła się dopiero z nadejściem środy popielcowej, gdy wszyscy, nieraz wprost z zabawy, udawali się do kościoła, aby ksiądz posypał głowy popiołem.

Kuligi te, jakkolwiek piękne i wesołe, nie były dobre, gdyż tracono na nie drogi czas, pieniądze i zdrowie. Ale z drugiej strony, gdy nadszedł wielki post, przodkowie nasi pościli bardzo, pościli surowo, jakby dla przebłagania Boga za wesołość karnawałową. Nawet w domach ludzi bogatych przez cały post nie ujrzałeś kawałeczka mięsa, a w środy, piątki i soboty nie używano nawet gotowanej strawy.

Kościół katolicki uznawał zabawy owe za niedobre, a ponieważ te zabawy odbywały się po największej części w ostatnie dni karnawału, zaprowadził w te dni uroczyste nabożeństwa kościelne, tak zwane czterdziestogodzinne nabożeństwa. Chciał tem odwieść ludność od zabaw, a zatrzymać ją na modłach w kościele. Ale skutek był taki, że kto chciał iść do kościoła, to poszedł, a kto na zabawę, to szedł na zabawę.

A dziś jakże jest?

Kuligi dawne poszły w zapomnienie, lecz w czasie tym zabawy trwają w najlepsze. W karnawale odbywa się najwięcej wesel, a gdy wesel braknie, to zawsze znajdzie się jakiś powód do urządzenia zabawy. Myliłby się, ktoby sądził, że ludzie chcą wyzyskać ten czas, w którym wolno przed postem urządzać zabawy, gdyż powodem jest pora stosowna do wesołości. Roboty wszelkie cięższe dawno się skończyły, pozostaje czasu wolnego dużo, przytem śpiżarnie przeważnie dobrze zaopatrzo-

ne, więc też i do zabaw i wesołości skłonność większa. A i do wesela — w wolnym czasie niejeden prędzej się namyśli do żeniaczki, zwłaszcza, że mu w czasie wiosennych zajęć żona będzie potrzebna, a nadto na urządzenie wesela więcej jest w tej porze wolnych chwil. To też wesołość w karnawale jest ogólną czy to w mieście, czy na wsi, w pałacu czy biednej chacie. A wesołość i uciecha ta jest dobrą, bo odświeża i odżywia świat, byle tylko była stateczną i przyzwoitą, a nie przeradzała się w nadużycia i pijatyki. Wszak i Pan Jezus brał udział w zabawie w Kanie Galilejskiej.



Dział kobiecy.

Rady dla narzeczonych.

I.

Kobieta nie zawsze zrozumie mężczyznę, pojmuje go bowiem zwykle tylko sercem. Każda przecież kobieta powinna zrozumieć, że w sercu narzeczonego jej lub męża są skrytki, do których jej zajrzeć nie wolno. O chęć zbadania tych właśnie tajników i o chęć zbyt gruntownego poznania wymarzonego ideału, rozbiło się już niejedno szczęście małżeńskie.

II.

Kobieta nie powinna za wiele pytać i narzekać — to męża nudzi i drażni; taką natomiast, która ufa ślepo — nie z głupoty, tylko dla tego, że wierzy w szlachetność męża — taką żonę powinien mąż uważać za skarb prawdziwy i starać się być godnym takiego skarbu!

III.

Każdy młody małżonek ma trochę obłędu wielkości. Gdy patrzy na inne żony lekkomyślne i niewierne, mówi: „Moją żonę wychowam sobie tak, że podobne rzeczy wcale by jej do głowy nie przyszły."

Gdy widzi przyjaciela pod pantoflem, myśli:

„Niechby tylko moja żona śmiała do mnie w ten sposób przemawiać lub w ten sposób ze mną postępować!"

Każdy młody małżonek umie na pamięć przepisy wzorowego, szczęśliwego pożycia małżeńskiego i patrzy z politowaniem na mniej szczęśliwych, których podobno jest aż za wielu.

Gdyby jednak wszystko tak się dziać miało podług przepisu — to cóżby się stało z zazdrością narzeczonych, żon i mężów? Brzydkie to uczucie zniknęłoby zupełnie, a na miejscu jego zapanowałaby ufność nieograniczona. Byłoby to przecież możliwem?

Na pytanie to niech sobie odpowiedzą narzeczone i narzeczeni!

M. P.

* * *

Zbytkowne obuwie.

Do kosztownych tualet aksamitnych, adamaszkowych i atłasowych używają panie teraz też bucików i pantofelków haftowanych lub kolorowych, wstążkami przybieranych. Chociaż modne obecnie trzewiki żadną nie odznaczają się przesadą i nie przypominają niczem niezwykłych pantofelków z początku przeszłego stulecia, to jednak ozdoby ich są co najmniej równie kosztowne i zbytkowne. Żadna elegancka kobieta nie wzięłaby dziś ani trzewika o nieskończenie długim czubku, ani szerokiego, brzydkiego amerykańskiego, dziś są modne zgrabne trzewiczki i pantofelki roccoco, o wysokich, cienkich obcasach, uwydatniające znakomicie delikatne linie zgrabnej, małej i wąskiej nóżki.

I nietylko forma jest roccoco, ale i całe wykonanie trzewików jest godnem wzorów owego czasu. Co do materyału, to musi wszystko być zastósowanem do sukni, i tak należy do ciemnej tualety bucik z czarnego aksamitu, ozdobiony złotą klamrą lub spinką, wysadzaną kamieniami strass, czyli najlepszą imitacyą brylantów. Ale aksamitne trzewiki można tym tylko polecić paniom, które wyjątkowo małemi nóżkami po tej nędznej chodzą ziemi — inne niech lepiej używają atłasowych lub kolorowych z cieniutkiej skóry. Pantofelki obecnie modne nie są już tak nizko wycięte jak dawniej, a zachodząca wysoko na przegubiu część środkowa powinna być cała zahaftowana perłami lub jedwabiem. Do jasnych sukien wieczorkowych należą pantofelki tego samego jak suknia koloru, jeżeli zaś są nizko wycięte, to muszą być po nad kostką przewiązane wstążką, przetykaną złotem lub srebrem.

Bardzo praktyczne, bo do każdej sukni stósowne są prześliczne pantofelki z złotego lub srebrnego brokatu, przypominające świetnością i blaskiem złoty trzewiczek Kopciuszka......

Ale dziś sam maleńki i błyszczący pantofelek nie wystarcza, aby.......

M. P.

Z dziedziny hygieny.

Śniadanie.

Spożywanie posiłku zaraz po wstaniu wielu hygienistów uważa — za niepożądane. Ruch w tym kierunku szerzy się szczególnie w Ameryce północnej, gdzie obywanie się bez śniadania uznaje już dużo osób za wyśmienity środek ochronny przeciw różnym chorobom, względnie leczniczy. Wśród zwolenników tego ruchu najwięcej znachodzi się otyłców oraz lubowników obfitego jadania. Słabości trawienne leczy obywanie się bez śniadania częstokroć zupełnie, skutkiem czego zapobiega się oczywiście wielu innym cierpieniom, jak bólom głowy, bezsenności, wyrzutom skórnym, dychawicy, reumatyzmom, słabościom nerwowym i t. d.

Zasadnicza myśl leczenia się obywaniem bez śniadania jest następująca: Podczas snu odpoczywają mięśnie żołądkowe; sok żołądkowy, niezbędny do trawienia, wytwarza żołądek w 3 lub 4 pierwszych godzinach po wstaniu tylko w małej mierze. W przeciągu doby właściwie tylko do dwóch posiłków daje nam przyroda dostateczną ilość pepsyny, ku południowi i pod wieczór.

Szczególnie osoby, które po wstaniu nie odczuwają apetytu, powinny się nie zmuszać, hołdując zwyczajowi, do spożywania czegokolwiek, lecz odczekać, aż głód wraz z apetytem się zjawią. Wtedy bowiem pożywienie najpożyteczniejszem staje się dla ustroju, zarówno u otyłych, jak u zbyt chudych, wtedy mózg, nerwy i mięśnie zyskują na sile.

Ponieważ ten środek leczniczy, zalecany przez praktycznych Amerykanów, nic nie kosztuje, warto go popróbować! U nas zresztą i tak dużo osób, wstających rychło, n. p. po wsiach, zwykło pierwszy posiłek przyjmować w kilka godzin dopiero po wstaniu, a zdrowie ich na tem nie cierpi — czemuż więc nie miałoby obywanie się bez śniadania być pożytecznem i dla innych?!

Kuracyę bezśniadaniową zalecamy szczególnie osobom, cierpiącym na zaparcia oraz na połączone z tem dolegliwości.

Największem nieszczęściem dla społeczeństwa są ludzie mali, których to społeczeństwo robi wielkimi.

Adam Sapieha.



W drodze do Egiptu.



Stefania Tuchołkowa.

Chrystus na krzyżu i dziecię.

(Temat wzięty z czeskiej ballady Jana Nerudy.)

Na górskim stoku przyczepion do skały
Wznosił się z głazu ciosan kościół mały,
Wieżyczka jego lśniąca od ołowiu
Świeciła zdala na górskiem pustkowiu.

A wewnątrz skromnie pobielane ściany
I tylko jeden ołtarz malowany.
A na ołtarzu nizkim na wznak święty
Krzyż leżał; na nim zaś Chrystus rozpięty.

A tak bolesny, że zda się, że skłania
Właśnie swą głowę wśród bólów konania,
Że z ust jęk bólu Mu zaraz wypłynie
I że krew żywa koralem z ran płynie.

Że tętna drgają w skroniach konające,
Że serce w piersi bije jeszcze drżące.
Słońce wpadało poprzez szyby w górze,
A On tak leżał w krwi Swojej purpurze.

A w drzwiach otwartych do przybytku Boga
Babka i wnuczek stanęli u proga,
Idą przed ołtarz, lecz chłopiec jak wryty
Na krzyż spogląda, gdzie Chrystus przybity.

Słów nauczonych mówić zapomina
Pacierza z żalu maleńka chłopczyna.
I tylko szepce przez gwałtowne łkanie:
Czemuż tak bardzo cierpisz, Chryste Panie?

Pocoś przybity do krzyża gwoździami?
Pocoś wieńczony ostremi cierniami?
Ach! na Twój widok, na cierpień tak wiele
Twe rany, Jezu, odczuwam w mem ciele.

I babki pyta: Powiedz mi na Boga
Czem rany krwawe leczyć, babciu droga? —
Zielem pleśnika, babka, choć nierada,
Lecz zatroskanej dziecinie powiada.

A czem krew otrzeć? — We wodzie źródlanej
Krew, dziecię, otrze płatek umaczany.
A dziecię prędko wybiega z kościoła,
Daj mi pleśniku swe listki zawoła.

Ponad rośliną, co rośnie w dolinie
I chustkę macza w zdroju, co tam płynie.
Wraca przed ołtarz, w maleńkie ramiona
Krzyż obejmuje i tuli do łona.

Pochyla nizko czuprynę swą płową
Nad umęczoną Zbawiciela głową.
Listek pleśnika przykłada do skroni,
Do nóg, do boku i do krwawych dłoni.

Chustką obmywa Chrystusowe rany.
Nie cierp tak, nie cierp Jezusku Kochany!
Tak prosi dziecię i łezki mu płyną.
I ulitował się Bóg nad dzieciną.

I w mgnieniu oka ran zwarły się usta;
Już z nich purpurą krwi strumień nie pluska.
I już po skroni Chrystusa nie ścieka,
Ciało, jak słońce, lśni Boga-Człowieka.

Z twarzy ustąpił wyraz wielkiej męki,
Gwoździe wypadły z ran u nóg i ręki.
Od włóczni rana w boku zagojona,
A zamiast cierni — z promieni korona.

I właśnie na mszą zadzwoniły dzwony,
Lud bieży zewsząd i patrzy zdumiony.

Odtąd rokrocznie, choć zbiegło lat wiele,
W dzień ten powtarza się cud ten w kościele.

Rany się goją Chrystusa i skronie
Nie w cierni, ale w promiennej koronie.
Lecz grzesznik żaden nie spostrzeże cudu, —
Taka wieść o tem krąży pośród ludu.—



Elektryczny sen.

Uczony francuski Leduc, zrobił odkrycie, które w sferach lekarskich budzi od dłuższego czasu duże, a zupełnie zrozumiałe zainteresowanie. Leduc mianowicie po całym szeregu doświadczeń dokonanych na zwierzętach, doszedł do przekonania, że chloroform czy eter można zastąpić w narkozie prądem elektrycznym. I jeżeli system ten w dalszych doświadczeniach istotnie okaże się skutecznym, to w chirurgii można się spodziewać poważnego przewrotu.

„Leduc, profesor w Ecole de medecine w Nantes — pisze o tem dr. J. Kowarzyk, prymaryusz szpitala jubileuszowego w Wiedniu, w jednem z pism tamtejszych — przy badaniu zachowywania się mózgu wobec prądu elektrycznego, zrobił bardzo interesujące odkrycie, że przez zastosowanie prądu elektrycznego w odpowiedniej formie mózg tak zwierząt jak i ludzi można wprawić w stan przemijającego zaniku odporności, podobnie zupełnie jak przez narkotyzowanie chloroformem czy eterem. Zjawisko to nazywa uczony francuski snem elektrycznym. U zwierząt uśpionych w ten sposób, gasły wszelkie funkcye życiowe z wyjątkiem czynności serca i oddechu; nie reagowały one na najbardziej nawet bolesne dotyki i pozostawały dopóty w takim stanie, dopóki trwało działanie prądu elektrycznego.

„Po doświadczeniach, robionych na zwierzętach, nie zawahał się znakomity uczony dokonać próby na sobie, kazał się bowiem kolegom swoim Maiherbe'owi i Rouxeau'owi zanarkotyzować swoją metodą — i oto, co, sam o tem powiada: „Uczucie wywołane podnieceniem nerwów, jakkolwiek trochę nieprzyjemne, jest łatwe do zniesienia. Uspokaja się zwolna i ustaje. Twarz czerwienieje; występuje lekka kontrakcya mięśni twarzy, na szyi, a także w przedramieniu; potem czuje się drganie w palcach u rąk, które rozszerza się także na kończyny nóg. Rozpoczyna się hamowanie mowy. Członki nie sztywnieją. Stękania przez pewien czas nie wywołuje jakieś bolesne uczucie; pochodzi ono raczej z podniecenia mięśni krtani. Puls podczas naszego eksperymentu nie uległ żadnej zmianie, oddech był, zdaje się, trochę utrudniony. Kiedy prąd osiągnął swoje maximum, słyszałem jeszcze, jak we śnie, co koło mnie mówiono. Czułem szczypanie, kłucie w ramię, uczucie to jednak było słabe. Przebudzenie następuje zaraz po przerwaniu prądu i nie odczuwa się żadnych ujemnych następstw tego rodzaju narkozy, przeciwnie, ma się uczucie rzeźkości i siły. Po przebytej próbie udałem się zaraz na zebranie naukowe.“

„Czy metoda prof. Leduca jest istotnie tak nieszkodliwą — dodaje dr. Kowarzyk i czy zdoła wyrugować powszechnie dzisiaj w narkozie stosowane chloroform i eter, pouczą nas dalsze badania.“



Zegar-olbrzym.
(Z osobliwości techniki.)

Ameryka, ten kraj cudów, ale i zarazem humbugów, znowu zadziwiła świat cały świeżem dziełem swojej nieporównanej techniki. Jest niem olbrzymi, największy na świecie zegar, zbudowany niedawno w mieście Jersey, nad rzeką Hudson. Tarcza tego zegarapotwora ma w średnicy 12 metrów, a wskazówka, której przeznaczeniem jest wskazywać tak mizerne miary czasu, jak minuty, jest ogromną, przeszło 5-cio metrową sztabą, o ostrzu na pół metra długiem. Ostrze to odbywa w ciągu jednej minuty drogę około 60 centymetrów, a więc w godzinie przeszło trzydzieści kilka metrów. Ciężar całej wskazówki wynosi 370 funtów.

Zegar ten zbudowany jest z ogromnych belek sosnowych, na biało pomalowanych i przypomina z blizka wiatrak. Wznosi się on ponad dachem jednej z fabryk mydła, na 40 metrów ponad ziemią, wskutek czego ogromna jego tarcza jest widzialna w dzień z bardzo nawet wielkiej odległości. W nocy wskazówkę minutową oświetla 36 lampek elektrycznych, godzinową zaś 26.

Gigantyczny ten zegar, który stanowi prawdziwie amerykańską reklamę wspomnianej fabryki, a oddaje znakomite usługi nietylko miastu Jersey, ale i Nowemu Jorkowi, graniczącemu tuż bezpośrednio z Jersey, działa niesłychanie dokładnie. Jest to przedewszystkiem zasługą maszyn wprawiających w ruch zapomocą różnych dźwigni i kół, cały mechanizm zegarowy, a zajmujących wyłącznie dla siebie osobną dużą halę przy wieży zegarowej.



Podanie o dyable Borucie.

Boruta, to nazwa sławnego dyabła, który dotąd siedzi pod gruzami zamku łęczyckiego i pilnuje złożonych tam skarbów. Cztery wieki liczy już sobie pono, więc też ustatkował się dyablisko i zgoła nie przypomina się ludziom. W młodości było jednak całkiem inaczej.

Stare podanie mówi, że Boruta, znudzony długiem pilnowaniem skarbów wyszedł na świat zabawić się nieco i trafił na gody weselne w domu pewnego szlachcica. Gospodarz przyjął grzecznie nieproszonego gościa, napoił miodem, ale gdy podchmielony Boruta zbyt natarczywie zapraszał pannę młodą do tańca, pan młody wyzwał go na szable. Zaczęła się rąbanina i choć dyabeł bronił się doskonale, szlachcic obciął mu dwa palce. Od tej pory Boruta nie opuszcza lochów łęczyckiego zamku, lecz spoczywając na pustej beczce od wina, liże zakrwawioną łapę i o swem nieszczęściu rozmyśla.

Drugie podanie jest takie:

W pobliżu zamku łęczyckiego mieszkał szlachcic, niewiadomego nazwiska i herbu, rosły i silny. Nikt z nim nie mógł się mierzyć na szable, bo za pierwszem złożeniem przeciwnikowi wytrącił oręż z ręki, stąd też szlachcic dostał przydomek Boruty. Mówiono nawet, że musiał mu dyabeł Boruta pomagać, a że nosił siwą kapotę, dla odróżnienia od prawdziwego dyabła, nazywano go siwym Borutą.

Nikt nie zaczepił, każdy z drogi ustępował siwemu Borucie, a skoro czasem rozochocona szlachta porwała się do korda, na sam głos siwego Boruty wychodziła do sieni, albo na podwórze, i tam dopiero karczowała sobie dymiące łysiny.

To uszanowanie, a raczej bojaźń sąsiadów tak wbiła Borutę w dumę, że nieraz odgrażał się, iż jak złapie praw-

dziwego Borutę, to mu karku nakręci, a skarby, których pilnuje zabierze.

Siwy Boruta miał dużo pieniędzy, lecz je wkrótce w hulance roztrwonił, postanowił przeto dostać się do skarbów, i wziąć z nich dużo pieniędzy od swego miłego pana brata, jak nazywał dyabła Borutę.

O samej północy, zapaliwszy latarnię zuchwały szlachcic, ufając sile i szabli, poszedł do lochów. Ze dwie godziny chodził po zakrętach, nareszcie wybiwszy jedne drzwi, ukryte w murze, ujrzał owe skarby... W kącie na bryle złota siedział Boruta, w postaci sowy, z iskrzącemi oczyma.

Zbladł śmiałek i zadrżał na ten widok, ale po chwili przyszedłszy do siebie wyrzekł z cicha, kłaniając się pokornie.

— Czołem, czołem, mnie wielce miłościwemu bratu!

Sowa kiwnęła głową, co rozweseliło nieco siwego Borutę. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać złotem i srebrem kieszenie siwej kapoty i tak je obładował, że zaledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczęło, gdy szlachcic wyszedł z lochu. Zaledwie stanął na progu, kiedy drzwi same zatrzasnęły się i ucięły mu całą piętę. Kulejąc, a krwią znacząc ślady kroków swoich, siwy Boruta ledwo doszedł do domostwa.

Odtąd miał dużo pieniędzy, ale stracił siłę i zdrowie, i gdy w kłótni o miedzę wyzwał sąsiada na szable, wówczas ten, którego dawniej siwy Boruta byłby jednym palcem obalił, teraz pokonał bogacza i zabił.

Domostwo zabitego pustkami stało, nikt nie chciał w niem zamieszkiwać, tylko dyabeł Boruta odwiedzał często izbę i alkierz, pozostałe skarby przenosząc napowrót do zamku łęczyckiego.



Hej, koledzy, hej co tchu,
Do nas, do nas. kto jest zuch,
Śniegu wszystkim starczy tu,
Więc buch kulką, buch, buch, buch.
(Patrz: wiersz „Śnieg“ w „Naszym kąciku“.)

Władysław Belza.

ZIMA.

Lecą płatki śniegu,
Powoli, powoli;
Spoczywając w biegu,
Na skostniałej roli.
Niby puszek biały,
Pokrywają niwy,
I te sine skały,
I ten dąb sędziwy.
W swoim śnie zimowym,
Ziemia cicho marzy;
O tem i o owem,
Czy się jeszcze zdarzy?

Oj, zdarzy się jeszcze:
Błyśnie promyk słonka;
Spadną ciepłe deszcze,
Zabrzmi śpiew skowronka.
Lecz gdy na włos siwy,
Śnieg całun zarzuci:
Już wiosny szczęśliwej,
Nikt ludziom nie wróci...

Talent jest od Boga i w tem nie ma zasługi; ale pracowitość jest wyrobem własnej woli, jest skutkiem przekonania, że daru bożego dla dobra i pożytku bliźnich używać należy.

Jozef Korzeniowski.

* * *

Do serca — droga przez serce.

Stanisław Wyspiański.

Przygoda Iwana Iwanowicza.

— Czyś pan widział w moim gabinecie szkielet? To nie zwyczajny szkielet. To nie z tych szkieletów, które akademicy-medycy kupują na Aleksandrowskim rynku. To szkielet mojego najlepszego przyjaciela Iwana Iwanowicza. Tak, panie, przed miesiącem ja z tym samym szkieletem (on był jeszcze obciągnięty skórą i tem wszystkiem, co jest potrzebne człowiekowi), z tym samym szkieletem —

powiadam — siedziałem w „Akwarium.“ Czyż mógłbym wówczas nawet pomyśleć, że za dwa tygodnie on będzie stać w moim gabinecie i wytrzeszczać na nas jamy oczne? Czyż mógł on pomyśleć, że to ostatni jego kotlet z dziczyzny? Nie lękaj się pan! Iwan Iwanowicz umarł nie od cholery i nie od dżumy. On umarł od tamożni. (Tamożnia — komora celna). Tak, od Białoostrowskiej tamożni. Z powodu inych tamożni także chorują, ale nie umierają. Wierżbołowska tamożnia jest szkodliwą dla zdrowia, ale nigdy jeszcze nie była ona przyczyną śmierci. I wszystko to było tak bardzo proste.

Pojechaliśmy razu pewnego do Helsingforsu — zabawić się. Pojechaliśmy tam morzem. Napowrót miałem pewne przeczucie, gdy zabieraliśmy się do odjazdu i rzekłem mu:

— Iwanie Iwanowiczu, jedźmy morzem!

— Za nic w świecie! — Nie — powiada —za żadne pieniądze! Dość — mówi — już mi było wymiotów. Pojedziemy koleją.

— Iwanie Iwanowiczu — mówię mu znowu — od morskiej choroby nikt jeszcze nie umarł, ale od lądowej zginęło już tyle osób! Wszak ciska nas tamożnia!

Ale on za nic. Za żadne pieniądze. Cóż było robić? Siedliśmy i pojechali. Podjeżdżamy do Białegoostrowia... po mnie mrowie przeszło. Powód tego, że Iwan Iwanowicz miał nogę sztuczną. W Helsingforsie on ją trochę nadwerężył (te sztuczne nogi zupełnie nie mocne — gorsze od zwyczajnych) i kupił nową. Ma się rozumieć, że noga była choć na wystawę; robota, materyał — pierwszej marki. Za taką nogę w Petersburgu, a do tego na Newskim prospekcie, potrzeba dać dwa razy więcej. I wyobraź pan sobie, przeczucie moje sprawdziło się. Podchodzą do nas strażnicy celni z żandarmem na czele.

— Bomb u was niema?

— Skąd? jakich bomb? I pieniędzy takich nie mamy, aby bomby kupować.

— A dynamitu niema?

— Niema prochu.

— Ale ja pytam nie o proch, ale o dynamit!

— Niema.

— Brauningów

— Niema.

— Armat?

— Niema.

— Białej broni: jataganów, sztyletów?

— Nawet scyzoryków niema.

Poprzewracali w naszych sak-wojażach i już zmierzali ku wyjściu, gdy wtem jeden z nich szepnął coś starszemu. Ten podskoczył jak gdyby go kto upiekł i prosto do Iwana Iwanowicza.

— Jaka u pana noga? Nowa? Dlaczego pan nam nie powiedział, że u pana są nowe rzeczy? Czyż pan nie wie, że za nowe rzeczy należy się cło?

— Zmiłuj się pan — odrzekł z przestrachem Iwan Iwanowicz, przecież ja jej na sprzedaż nie wiozę. To moja własna noga. Mówiąc nawiasem, jest to nierozdzielny członek mojego ciała.

— Sidorczuk, odkręć mu nogę! Zaprowadź go do tamożni.

— Przecież ona prosta, drewniana!

— Jeżeli prosta, drewniana, to zapłacisz pan mniej. To jest pańskie szczęście.

— Ja nie dam nogi!

— Co! nie dasz?! Sidorczuk ciągnij go razem z nogą do tamożni i kładź na wagę!

— Zmiłuj się pan — wołam — czyż można człowieka kłaść na wagę razem z towarem? Toż to przecież zaważy pięć pudów. Jakie tysiąc rubli potrzeba będzie zapłacić.

— Ja nawet pieniędzy nie mam przy sobie — rzekł Iwan Iwanowicz. Zresztą Bóg z wami! Bierzcie nogę.

Odczepił nogę i oddał jednemu ze strażników.

— Wasze wysokorodie — rzecze jeden strażnik, zwracając się do naczelnika — u niego coś w gębie pobłyskuje.

— Co błyszczy ! — krzyknął naczelnik.

— Nic nie błyszczy — odrzekł przelękły Iwan Iwanowicz, czy wy sądzicie, że u mnie w gębie magazyn jubilerski? Sztuczne podniebienie błyszczy.

Te słowa zgubiły Iwana Iwanowicza.

— Złoto — krzyknął naczelnik — zagranicznego złota nie wolno przywozić do Rosyi. Sidorczuk wyjm złoto z jego gęby.

Sidorczuk już widocznie przedtem służył przy koniach, gdyż w jednej chwili z wielkim sprytem wyciągnął z gęby podniebienie.

— Obszukać go jak najstaranniej! — krzyknął czynownik. — On cały napełniony kontrabandą. Rękę mu popróbuj Sidorczyk, czy nie jest sztuczna? W oczy mu popatrz, Sidorczuk, czy nie porcelanowe! Weź go za nos, Sidorczuk. Ręczę, że jego nos parafinowy. Pociągnij go za włosy, Sidorczuk! Peruki przemyca. Rozbierz go na części Sidorczuk! Na wagę z nim Sidorczuk! Rozpruj mu Sidorczuk brzuch, u takich znachodzą się w brzuchu lancety zagraniczne! Do gardła, do gardła mu wleź, Sidorczuk! Tacy srebrne płytki i trąbki w sobie wożą. Rozbierz go Sidorczuk!

Nie miałem nawet czasu przyjść do siebie, gdy Sidorczuk, przy pomocy dwóch innych strażników, rozebrał Iwana Iwanowicza.

Jak się okazało, nieszczęśliwy cały był napełniony kontrabandą. Jedno oko było porcelanowe — i z jakiej jeszcze porcelany! W gardle znaleziono sztuczną srebną trąbkę, a w brzuchu cały kłębek jedwabnych nici operacyjnych, i to najlepszego gatunku. Rozebranego Iwana Iwanowicza ponieśli do komory i położyli na wagę. Bardzo długo kłócili się, jakie cło naznaczyć: czy jako za zagraniczną nogę, czy jako za jedwab, czy jako za złoto. Postanowili ocenić Iwana Iwanowicza na wagę złota, ale ponieważ Iwan Iwanowicz oddał Bogu ducha na wadze, postanowiono go skonfiskować i sprzedać w drodze publicznej licytacyi.

Strażnik, któremu dałem łapówkę, przyniósł mi do wagonu szkielet Iwana Iwanowicza i to jedno okazało się jako naturalne, rosyjskiego pochodzenia i nie podlegające ocleniu. Sądzisz pan, że nie zatrzymano mnie w petersburskiej tamożni? Jeszcze jaka była historya! Początkowo żądano odemnie, abym zapłacił jak za kość słoniową, gdyż kość Iwana Iwanowicza była bardzo biała. Targowałem się i w końcu wzięli za szkielet Iwana Iwanowicza bardzo mało, ot jak za kość do kościopalni.

— Biedny Wania! Ty patrzysz na mnie swojemi zapadłemi ślepiami i zdaje mi się, że płaczesz. Mówiłem ci, nie jedź przez Białoostrowską tamożnię!...

(Riecz).

Życie bez celu i bez sił, a z żądzą wrzącą w piersiach, jest piekłem już tej strony grobu. *Z. Krasiński.*

* * *

Wyrządzać sprawiedliwość jest miłosierdziem króla, rozdzielać miłosierdzie jest sprawiedliwością królowej.

Królowa Marja Leszczyńska.

* * *

Wielokroć w życiu przechodziłam nad przepaścią, modlitwa matki chroniła mnie od złego.

Narcyza Żmichowska.

* * *



Jantek z Bugaja.

KIEDYŻ?

Kiedyż, ach kiedyż, przyjdą takie czasy,
Iże mieszczanin, pan w dworze, chłop w chacie;
Złączą swe dłonie, bez względu na klasy
W uścisk serdeczny i z tem słowem: BRACIE!

Kiedyż ta miłość bratnia się roznieci,
We wszystkich sercach polskiego narodu,
I będziem jako jednej matki dzieci
Z wioski, fabryki i z dworu i grodu.

Jedna Ojczyzna nasza Matka święta,
Jedni wrogowie, w życie nasze godzą,
Jedne znosimy niewolnicze pęta,
Czemuż jej dzieci wzajem sobie szkodzą?

Kiedyż, och kiedyż, o polski narodzie,
Walka, niezgoda, w twem łonie ustanie,
Byś żył, pracował w miłości i zgodzie,
Na twej Ojczyzny przyszłe zmartwychstanie.



Głowa zapatrzonej kobiety. (Studyum.)



Największy bohater.

Starego króla zmęczyło już panowanie. Przyzwał tedy swoich trzech synów przed siebie i rzekł:

— Pozbyłbym się chętnie ciężaru królowania, ale nie zostawię korony byle komu... Mój następca musi być prawdziwym bohaterem. Daję wam rok czasu. Idźcie w świat, szukajcie przygód, a który z was w tym terminie zdziała coś niesłychanie wielkiego, dotąd *niebywałego* — ten otrzyma koronę!

Synowie pożegnali się z ojcem — odeszli, a za rok stanęli znów wszyscy trzej przed jego tronem.

— Opowiadajcie! — zawołał król.

Wystąpił zatem najstarszy i tak począł:

— Przebiegłem wiele, bardzo wiele krajów, aż natrafiłem na osławiony las w puszczy samotnej, gdzie zamieszkiwał straszliwy smok z trzema głowami, cały łuską okryty i ogniem z paszczy zieiący. Wysłał on naprzeciw mnie hufce swoich podwładnych lwów, tygrysów i olbrzymich niedźwiedzi — ale ja pobiłem wszystkie i tak utorowałem sobie drogę do tego potwora. Rzucił się na mnie z wściekłością, zionął ogniem i siarką zatruwał powietrze, straszliwemi wymachiwał ku mnie skrzydłami... ale ja nie uląkłem się wcale i utopiwszy mój miecz w obrzydłem jego cielsku, stałem się panem strzeżonego skarbu.

— Dzielnie spisałeś się synu — odpowiedział król-ojciec — ale o czynach takich już nieraz wspominała historya.

Wtedy wystąpił średni syn na środek sali a złożywszy głęboki ukłon rodzicowi — tak powiedział:

— W podróżach moich przyszedłem do jednego kraju, w którym naród jęczał straszliwie pod panowaniem nielitośnego tyrana olbrzyma. Wyzwałem go do walki i zabiłem, pomimo, że siłacz ów miał na sobie pancerz, a pod pancerzem na cal grubą skórę z nosorożca. Wór pełen najpiękniejszych i przecudnych blasków klejnotów złożyli mi w podzięce szczęśliwi poddani.

— Bardzo chwalebnie! — rzekł na to starzec — ale to nic nowego.

Tu zbliżył się do tronu najmłodszy książę i mówił nieśmiało:

— Za granicami naszej ojczyzny poznałem cudnej urody księżniczkę i pozyskałem jej miłość. Poślubiwszy ją, sprowadziłem się do pałacu panującej starej księżny matki. Kochana teściowa zaczęła mi dokuczać i na rozmaite sposoby zatruwać życie; wtedy ja, nie namyślając się długo, wyrzuciłem babę za drzwi i kazałem ją na całe życie osadzić w warownym o sto mil odległym zamku. Siedzi tam stara jędza do tej pory i wyklina mnie razem z całem światem...

Starzec, który słuchał opowiadania z wyciągniętą szyją i zapartym oddechem — porwał się z tronu, chwycił syna w objęcia i zawołał:

— Chłopcze mój najmilszy! Tobie oddaję koronę i umrę spokojny o los mego państwa; bo ty jesteś prawdziwym bohaterem! Dokonałeś dzieła, jakiego dotąd na świecie nie dokonał nikt.

Naśladował „Pablo“; przepisał J. Badura.



Flota handlowa całego świata.

Flota handlowa całego świata.

Ogólna pojemność wszystkich statków na całej kuli ziemskiej wynosiła z końcem XIX. wieku 18 milionów tonn; od tego jednak czasu, to jest, gdy ogromnie wzmagać się poczęła żegluga morska, pojemność ta rosła w bardzo szybkim tempie. Ten wzrost nagły zaznaczył się przedewszystkiem w dziedzinie floty parowców, która w tym czasie wzrosła z liczby 3.5 milionów tonn na 21 milionów, podczas gdy pojemność floty żaglowców z 15.6 milionów tonn poczęła spadać i w r. 1909 wynosiła już tylko 6.7 milionów tonn. Przyczyną spadku żaglowców na korzyść parowych okrętów było to, iż sprawność parowców okazała się czterykroć prawie większą od sprawności żaglowców i wreszcie, że parowce zdolne są unieść więcej ciężaru i mają nierównie większą szybkość niż żaglowce.

Dziś pojemność całej floty światowej wynosi 70 milionów tonn, ale prawie połowa floty handlowej płynie pod flagami angielskiemi (47.7%). Niemcy, które w r. 1870 po Stanach Zjednoczoczonych i Francyi zajmowały trzecie miejsce, dziś w dziedzinie marynarki wybiły się ogromnie naprzód i zajmują 2 miejsca (10.6%). Wedle najnowszej statystyki z sierpnia 1909, ogólnoświatowa flota handlowa przedstawia się w tysiącach liczonych netto tonn:

Liczba parowców.		Pojemność.
Anglia	10.616	33.322,000
Niemcy	2.314	7.389,000
Stany Zjedn. Am.	1.232	5.091,000
Norwegia	894	3.154,000
Francya	787	2.856,000
Japonia	697	2.263,000
Włochy	599	2.200,000
Holandya	577	1.811,000
Szwecya	556	1.882,000
Rosya	492	2,957,000
Hiszpania	427	1.338,000
In. kr. (w t. Austr.)	1.867	6.413,000
Razem	21.008	69.773,000 t.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 8-go stycznia 1634 Władysław IV. przybywa pod Smoleńsk. — 1759 inwestytura księcia Karola na księstwo Kurlandzkie.

Dnia 9-go stycznia 1630 śmierć Eustachego Wołłowicza, biskupa wileńskiego. — 1792 pokój Turcyi z Moskwą, przeciw Polsce wymierzona wojna. — 1795 Stanisław Poniatowski opuszcza Warszawę. — 1797 Dąbrowski formuje legiony we Włoszech.

Dnia 10-go stycznia 1529 sejm w Piotrkowie przyjmuje ustawę dla sądów pruskich. — 1677 otwarcie sejmu w Warszawie. — 1837 śmierć uczonego Jana Uruskiego.

Dnia 11-go stycznia 1386 Jagiełło obrany przez stany królem polskim. — 1501 zawarte i potwierdzone przymierze z Turkami. — 1562 śmierć prymasa Jana Porębskiego. — 1655 zniesienie zbuntowanych kozaków pod Ochmatowem. — 1678 August II. przybywa do Warszawy.

Dnia 12-go stycznia 1280 śmierć Zawiszy, biskupa krakowskiego. — 1441 hołd księcia oświecimskiego i zatorskiego. — 1815 Anglia przemawia za Polską do dworów północnych. — 1831 Moskale wkraczają w granice Kongresówki.

Dnia 13-go stycznia 1697 konfederacya wojska w bezkrólewiu po Sobieskim. — 1773 manifest dworów zwiastujący rozbiór Polski. — 1793 Prusacy wkraczają do Polski. — 1851 zniesienie granicy między Kongresówką a Litwą i Rusią.

Dnia 14-go stycznia 1329 sejm prawodawczy w Chęcinach. — 1576 sejm w Jędrzejowie po ucieczce Henryka Walezyusza. — 1807 utworzenie rządu tymczasowego w Warszawie.

Humor i satyra.

One gotujące.

Narzeczona: Powiedz szczerze, Karolku! jak znachodzisz moją sztukę kucharską?

Narzeczony: O!... prawdziwa miłość przezwycięży wszystko!

Żona: Dzisiejszy obiad gotowałam sama, mężulku... ale nie mówiłam ci nic podczas jedzenia.

Mąż: Widzisz... a ja niesłusznie przeklinałem w duchu — kucharkę!

Mąż inny: Przyznaj się Malwińciu... kto dzisiaj gotował obiad? Ty czy kucharka?

Żoneczka: Powiedz mi pierwej, czy ci smakuje, to się przyznam!

1-szy pan: Dokąd tak biegniesz?

2-gi pan: Do biura sług po nową kucharkę.

1-szy pan: Czegoż takim pędem?

2-gi pan: Muszę... bo inaczej żona ugotuje obiad sama!

Żona: Wyobraź sobie, mężu... zrobiłam pyszną leguminę podług książki, postawiłam na oknie, żeby wystygła i złodziej mi ją ukradł!

Mąż: Dobrze mu tak, gałganowi!

* * *

Zasada.

Lepiej używać, niż marzyć, śnić —
Oto jest wzniosła zasada:
Lepiej być brzuchem, niż głową być,
Głowa się męczy — brzuch zjada!

* * *

Skarga nerwowego męża.

Są nerwowe kobiety. Są ogromnie nerwowe kobiety. Są kobiety tak nerwowe, że szelest myszy w drugim pokoju może je do ataku doprowadzić, ale niema tak nerwowych kobiet, któreby drażnił najokropniejszy szelest jedwabnej halki i sukni na - jedwabnej podszewce.

* * *

Litościwe serce.

Hrabina X. lubi często chodzić po wsi i opiekować się włościanami.

Pewnego razu spotkała kobietę z paroletniem dzieckiem z silnie spuchniętą twarzyczką.

— O, mój Boże, cóż temu małemu? Zęby go bolą?

— Nie, proszę wielmożnej pani hrabiny, on ino w pysk dostał, bo ciegiem psocił.

— Ach, moja kobieto, nie należy nigdy bić dzieci po twarzy. Jeżeli są niegrzeczne lepiej nie dawać im deseru po obiedzie.

* * *

I tak źle, i tak nie dobrze.

— Bardzo to pięknie, że pan prosisz o rękę mojej córki — powiada stary kupiec do oświadczającego się karyerowicza — ale zanim się zdecyduję, powiedz mi pan szczerze, ile masz długów?

— Nie mam ani grosza długu — rzecze tryumfująco kawaler.

— Co?... ani grosza?!... to źle!... Jeżeli pan jeszcze od nikogo nic nie pożyczył, to znaczy, że nie masz wiary u ludzi, z jakiej więc racyi ja mam panu zaufać i powierzyć córkę z dwudziestoma tysiącami?...

* * *

Racya!

—I znowu się kłócicie? Zastanówcie się! Mąż i żona powinni stanowić

wzorową spójnię, powinni dążyć oboje do jednego celu.

— Dlatego właśnie się kłócimy, bo mąż mój chce rządzić domem i ja także...

* * *

Ostrożny.

— Dla czego pan nie chcesz Iksa za kasyera? Bardzo porządny człowiek.

— Nie przeczę, ale on służył w wojsku w oddziale balonowym.

* * *

Czy żyją dłużej?

— Dla czego pan się nie żeni, panie Władysławie, przedłużyłbyś pan o wiele w takim razie swoje życia. Przecież wiadomo powszechnie, że żonaci żyją dłużej niż kawalerowie, — mówiła do swojego znajomego nieprzyjaciółka celibatu u mężczyzn.

— Myli się pani, — brzmiała odpowiedź Władysława, — tak się tylko wszystkim zdaje.

— Jakto, zdaje się? — nie rozumiem.

— Bo widzi pani, żonaci w rzeczywistości nie żyją wcale od nieżonatych dłużej, tylko im się z powodu przysmaków małżeńskich życie więcej dłuży.

* * *

Czuły małżonek.

— Kaziu, jutro twoje imieniny; chciałbym ci coś kupić, ale nie wiem doprawdy, jak ci dogodzić, — mówił czuły mąż do swojej połowicy.

— Mój drogi, zaskoczyłeś mnie tem oświadczeniem tak znienacka, iż sama jeszcze nie wiem co...

— W takim razie, moja ukochana, pozostawiam ci cały rok, do następnych twoich imienin, do namysłu.

* * *

Słomiany ogień.

— Panie doktorze, — odzywa się do przybyłego Eskulapa pewien radca bez zdania, którego powszchnie nazywano słomianym człowiekiem. — Mam gorączkę w całem ciele, pali mnie coś w piersiach i żołądku.

— Nie lękaj się pan o siebie, panie radco, nic się panu złego nie stanie, ten ogień, co w panu niepokój budzi, jest ogniem słomianym.

* * *

Także metoda.

— Jaką metodę stosuje do ciebie doktór Z., — pytała przyjaciółki pani X. — homeopatyczną czy aleopatyczną?

— Moja droga, on jest tak nieokrzesany i grubijański dla kobiet, iż mogę ci powiedzieć, iż stosuje do mnie i do nas wszystkich metodę ordynarną.

Roztrzepany.

— Moi panowie, — odzywa się do studentów krających umarłego w prosektoryum, znany z roztrzepania profesor, — już więcej dziś krająć nie będziemy; odłóżcie zatem wasze noże, i weźcie palce w ręce.

* * *

Kto bogatszy?

— Powiedz mi pan, panie Bolesławie, kto jest bogatszy, czy ten co ma sto tysięcy marek majątku, czy ten co ma 10 córek?

— Naturalnie że pierwszy, — brzmi odpowiedź Bolesława.

— A ja jestem przeciwnego zdania — twierdzi zapytujący.

— Dla czego?

— Bo ten co ma sto tysięcy, nie poprzestaje na tem, i chce mieć jeszcze więcej, a ten co ma dziesięć córek, zadawala się tem co ma, i więcej ich nie żąda.

* * *

Na poczcie wiejskiej.

— Moja kobieto, — odzywa się urzędnik pocztowy do włościanki, tego listu nie mogę przyjąć od was z jedną marką,gdyż jest za ciężki. Musicie na nim przykleić drugą.

— A toć proszę pana jak drugą przykleję, to będzie list jeszcze cięższy.

ZAGADKI.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ p. Ignacy S. z obczyzny.

I.

PIERWSZE jest rzeki nazwanie,
DRUGIE oznacza dawanie,
Wszystko zaś służy
Do lekkiej podróży.

II.

Nie ma początku ani końca a nie Pan Bóg.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 12-go stycznia włącznie.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższych dwóch zagadek.

Rozwiązanie rebusa zamieszczonego w numerze 52-im „Pracy“:

Nauka oświeca i rozwidnia, drogi ludzkości.

Dobre rozwiązanie nadesłały do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 29-go z. m. następujące osoby:

Z POZNANIA: pp. Kalasanty Prarak, T. Gadomska, Wanda Malinowska, Tadeusz Bujakiewicz, M. Zabłocki.

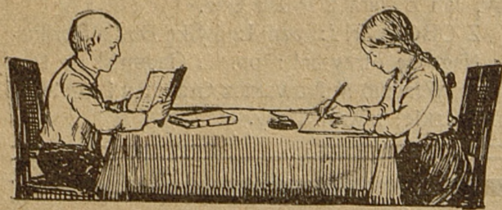
Z PROWINCYI: pp. Tadeusz Gantkowski z Gniezna, Władzio Miłkowski z Grabowa, Toia Kozłowska ze Stęszewa, J. Śmigielska z Dolska, Helena Żmidzińska ze Skalmierzyc, Maksymilian Chojnacki z Dubinka pod Dubinem, Jan Wachowski z Niechanowa, Bronisław Sobeski z Celimowa, Stefan Preibisz z Mokronosa, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa, Janina z Rombin ia Edward Krzywosądzki z Lubostronia.

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA: pp. Agnieszka Muszkiet z Król. Huty, Alojzy Besler z Huty Antoniny, Jan Badura z Rożdzienia.

Z OBCZYZNY: pani Ludwika Bok z Berlina.

Nagrodę otrzymali: pp. T. Gadomska z Poznania. Władzio Miłkowski z Grabowa i Agnieszka Muszkiet z Król. Huty.

NASZ KĄCIK.



Śnieg.

Hej, kto nie jest tchórz,
Hejże, kto jest zuch,
Patrzcie, śniegu już
Lśni się biały puch!
Hejże chłopcy, hej junacy,
Dalej, żwawo, tu do pracy,
Róbcie kulki i naboje!
Władku, Stefku, Zbyszku, Stachu
Wszak nie macie chyba strachu?
Chociaż kulka was ugodzi,
Nie porani, nie zaszkodzi.
Taki to już wojny los,
Że strzał czasem padnie w nos,
Lecz to tylko śnieżny puch,
Więc buch kulką, buch, buch buch!
Wre zabawa, wre junacka,
Leci kulka gdzieś znienacka,
Rycerz szybko w bok odskoczy,
Oj, zasypał mu pył oczy....
Ej, aż dudnią, grzmią kartacze,
Z naszych zuchów nikt nie płacze,
Lecą kulki z poza płota,
Słychać śmiech: „To mi robota!
Hej koledzy, hej, co tchu,
Do nas, do nas, kto jest zuch,
Śniegu wszystkim starczy tu,
Więc buch kulką, buch, buch, buch!“

P. Wężyk.



Gwiazdka Stefci i Stasi.

(Ciąg dalszy).

— Dawniej, na Litwie, za czasów pogańskich, nim nasza święta królowa Jadwiga wyszedłszy za mąż za wielkiego księcia litewskiego Jagiełłę wiarę chrześciańską tam zaprowadziła, młode dziewice-kapłanki, poświęcały swe życie podniecaniu i utrzymywaniu ku czci bożków ciągłego ognia, a ogień ten nazywał się „Znicz“. Ogniska te dawno pogasły, lecz do dziś dnia ta nazwa służy do określania gorącego żaru miłości tlejącego w sercach ludzi. W Poznaniu zawiązało się Towarzystwo, które złożyło pewną sumę pieniędzy na wydawanie takich swojskich zabawek dla naszych dzieci. A że Towarzystwem nie powoduje chęć zysku, lecz miłość Ojczyzny, więc przedsiębiorstwu swemu dało nazwę wiecznie żarzącego się ognia: „Znicz.“

— A te śliczne mebelki mamusiu, czy także ci państwo ze „Znicza“ dla nas zrobić kazali? — Nie,moje dzieci, te mebelki pochodzą z Galicyi i są zrobione rękami wiejskich dzieci, w szkółce założonej za składkowe grosze zamożniejszej dziatwy. —O, niechże nam mamusia o tem opowie, prosimy!

— Otóż we Lwowie wychodzi pisemko dla młodzieży „Mały światek.“ Redaktorka tegoż widząc nędzę ludu wiejskiego w Galicyi i brak oświaty, pragnęła choć w małej cząstce zaradzić temu. Odezwała się więc do serduszek swych czytelników, przedstawiła okropne zaniedbanie wiejskich dzieci i prosiła o stałe groszowe składki, by módz otworzyć początkową szkółkę w upatrzonej przez siebie wiosce Kulikach. Grosze posypały się obficie, nie jedno dziecko odmawiał sobie przysmaczku, lub kupienia zbytkownej zabawki, nie jedno podjęło się w domu spełniać zawsze drobne usługi, by otrzymany za to grosz posyłać stale na potrzeby szkółki. Najprzód mieściła się ona w jednej wynajętej izbie, teraz już tyle uzbierało się groszy, że zakupiono za nie osobny domeczek z ogródkiem i kilkadziesiąt dzieci prócz zwykłej początkowej nauki, pobiera tam lekcye rzemiosła, wyrabiania różnych, drewnianych zabawek. —Podobno od tego czasu zmienił się zupełnie wygląd tej wioski. Dzieci są zawsze czysto umyte i wesołe, a twarze starszych mniej ponure — i zadowolenie gości w Kulikach, skąd właśnie pochodzą mebelki dla waszych lalek. — Kiedy przed świętami byłam w Poznaniu, poszłam na wystawę pracy kobiet i zobaczywszy te ładne i nie drogie zabawki nabyłam je dla was. — Mama spojrzała na zegarek. — Późno już dzieci, czas na spoczynek! — Dziewczynki w tej chwili usłuchały i zmówiwszy z mamą nabożnie wieczorne pacierze i ucałowawszy ręce rodziców udały się do swego pokoiku.

— Stasiu, pochowaj twoje zabawki, upomniała porządna Stefcia młodszą siostrzyczkę, sama chowając perełki, korale i paciorki do pudełka, stojącego na stoliczku, między łóżeczkami dziewczynek.

Potem dziewczynki uściskały się i zgasiły świecę, szybko rozebrawszy się i otuliwszy kołderkami.

Cichutko, cichutko... Naraz budzi się Stefcia. Nie wie jak dawno już spała, nie ma wyobrażenia, która być może godzina. Wtem, zdaje jej się, że słyszy jakiś szept. Serduszko zaczęło jej bić jak młotem, przypomniała sobie, że rodzice wyszli na pasterkę i one same w domu zostały, ale szept taki jest miły i cichy, więc prędko Stefcia uspokaja się; postanawia jednak obudzić Stasię. — „Stasiu, Stasiu!“ Lecz Stasia jak na złość śpi tak mocno, więc Stefcia wychyla się z łóżeczka i ciągnie Stasię za rękę. — „Co to?“ Czy już czas wstawać? Zrywa się Stasia, przeciera oczka i siada na łóżku. — „Nie Stasiu, to jeszcze noc, ale ja się trochę boję, posłuchaj, czy nic nie słyszysz?“ Stasia zaczęła nasłuchiwać.... — „Tu ktoś jest, ktoś rozmawia, tu, tu, blisko nas, ja się boję! — Cicho Stasiu, cicho, nic nam się nie stanie, ja już wiem skąd ten głos płynie; tu z naszego pudełka, w którym schowałyśmy koraliki i perełki. — Czy być może? — Tak, tak, nachyl uszko i słuchaj! Dziewczynki wysunęły się z łóżeczek, a główki ich nachyliły się nad stoliczkiem — i rzeczywiście, po chwilce posłyszały znów delikatny szmer płynący z wnętrza pudełka: „Dobranoc Stefciu! — Dobranoc Stasiu.“ I już cisza zaległa pokoik.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Żadna na świecie wyższość talentów nie rozwiązuje z obowiązków powszechnych. *J. I. Kraszewski.*

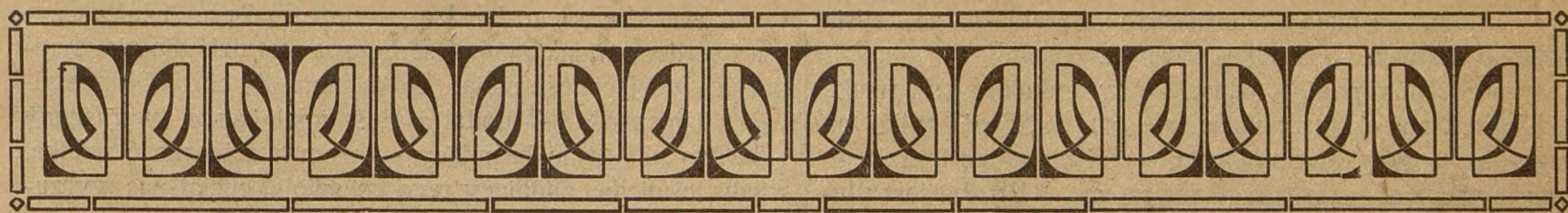
* * *

Człowiek z rozumem a bez uczuć, jest już za życia zmarłym upiorem bez serca! *Józef Kremer.*

* * *

Rankiem głos sumienia nudzi,
Nad wieczorem dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi.

Juliusz Słowacki.



KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

17)

(Ciąg dalszy).

Klęczała smutna, zawstydzona, ale przyszła jej nagle do głowy myśl szczęśliwa. Matka, prócz jednej książki nowej, z Częstochowy też przywiezionej, brała zawsze do kościoła jeszcze drugą starą, w której były bardzo piękne i do łaski Boskiej doświadczone modlitwy z odpustami, tylko chowała ją zawsze pod chustkę, bo była już bardzo stara i Fruzia z niej kiedyś oprawę obdarła. Otóż matka mogła jej książki owej teraz pozwolić i ona mogła się modlić dobrze.

Tak też zrobiła; wcale nie zważała czy kto będzie widział lub nie, że z bibulastego papieru czyta wyrazy, które Bogu z gorącem uczuciem serca powtarza i klęcząc pobożnie, modliła się do Boga swoim własnym, własnym swym głosem i gdybym to pisał dla zbudowania takich jak Felisia Oktabowiczówna sercem wdzięcznych, idealnie pięknych istot, dodałbym, że ojciec jej niebieski dla tego właśnie słyszał i rozumiał ją dobrze i może łaskę swoją dać jej postanowił, że ten głos, który z miłosną prostotą podnosiła do Niego, nie był żadnym cudzym głosem. Ale wszedłszy raz na drogę bohaterskich rzutów uczucia, Felisia postanowiła zrobić coś więcej jeszcze: ukarać się za próżność próżności pogardą, i nietylko ową obdartą książkę już matce oddać nie chciała, ale po skończeniu nabożeństwa i drugą od niej zabrała i cały ten pakunek duchowego pokarmu spokojnie przez kościół przeniosła i niosła dalej aż do tej furtki w parkanie, którą się wychodziło na ową drożynę przez wiejskie ogrody, tyłami wsi prosto do dworu wiodącą. Dąbrosia to poradziła pani Jackowej tę drogę, wiele wygodniejszą i bliższą niż przez wieś, a lepiej było iść pieszo niż jechać powozem od księdza kanonika kupionym. Powóz, jak Dąbrosia myślała sobie w sekrecie, nie był z tych, któreby furorę zrobić mogły, a przytem znała ona coś parafialnych tajemnic o zajeżdżaniu przed kościół i odjeżdżaniu ztamtąd, to też szepnęła pani Jackowej, aby poszła pieszo, jak robili państwo Piotrowstwo — aby wsunęła i wysunęła się cichutko...

Więc też tak zrobionem zostało. Gdy kościół wyludnił się do połowy, gdy państwo z jednych a wasaństwo z drugich ławek się wyniosło, pani Jackowa z Felisią zrobiła to nareszcie, a idąc pieszo nie potrzebowała wychodzić głównemi drzwiami przez kruchtę, ale wyjściem bocznem, które ją prościej do celu wiodło, i szła spokojnie niby, choć serce w piersiach biednej kobiety młotem biło, bo trzeba jej było właśnie przejść mimo całej grupy jaśnie państwa, tu zatrzymanych zwyczajem dawnym, gdy państwo Piotrowstwo tędy chodzili. I oni byli teraz w pośrodku: pani Piotrowa między paniami, pan Piotr wśród sąsiadów dobrodziejów, Jan z Jadwigą wpośród młodzieży, a ich posesorka — posesorka kamieńska z plamą ognistą na policzkach mimo przeszła niewitana, przez nikogo i nikogo nie witająca. Felisia idąca obok matki też była rozrumieniona, ale uczuciem innem zgoła; „dobra dziewczynka“ stała się w tej chwili heroiczną dziewczynką i nie myślała być ani nieśmiałą, ani zalęknioną. Modliła się gorąco i Bóg jej dał dobre natchnienie: przyrzekła sobie pełnić wszystko co jej się należy, wszystko co dobrego zrobić mogła, coby za rzecz potrzebną uznała i nie troszczyć o nic więcej, o ludzi i ich pozorne sądy. Na początek dźwigała trzy książki, bynajmniej nie cienkie i nie mogła przez to otworzyć parasolki, choć słońce wprost świeciło, a przecież szła swobodna, niezmieszana — heroiczna!

Ale ach!... przy samej furtce, którą przed matką otworzyć chciała, nastąpiła katastrofa niespodziewana — trzy książki ułożone na ręku Felisi, runęły nagle o ziemię, i owa staruszka najszanowniejsza aż się rozpadła na części, a z jaki tuzin obrazków wysypał się do koła. Matka Boska Częstochowska, Gidelska, Ostrobramska, Matka Boska Studzieniecka ze św. Filipem, św. Antoni Padewski, św. Barbara, Apolonia, Jadwiga, wszystko leżało rozsypane na murawie, i ona, ona Felisia nieszczęśliwa zbierać to musiała...

Nie było przecież rady, musiała.... Widziała, że tam patrzą z tyłu, że tam się śmieją może, że widzą już teraz jak na świeczniku obdarty Ołtarzyk nowy, który był właśnie takim starym, ona przecież nie mogła zrobić inaczej... Oparła parasolkę o parkan, schyliła się, przyklękła na murawie i ręką sięgała za patronem swoim św. Feliksem, gdy nagle przyszła jej pomoc niespodziewana — Jan był przy niej i zaczął zbierać do spółki.

Czyż mogła się spodziewać tego!... Czyż mogła przypuścić!... Aż uszki biednej Felisi zrobiły się purpurowe, lecz Jan zaczął się śmiać tak wesoło, że i ona wkrótce się śmiała. Pozbierano wszystko w oka mgnieniu i Jan starannie ułożywszy, oddał Felisi, choć jedna z książek dostała się teraz p. Jackowej. Gdyby nie rodzice, którzy czekaliby za nim,Jan zaniósłby jej to do domu, a teraz żartował tylko, że źle jest brać na siebie zawiele ciężarów, bo mogą tak wszystkie runąć o ziemię. Był to morał, mogący się raczej stosować do niego, ale Jan nie myślał w tej chwili o ciężarach swoich, ani o morale; kłopot Felisi wprawił go w dobry humor, powiedział cośkolwiek, aby mówić do niej, ale chciał, żeby z wypadku zdarzonego wyciągnąć jakąś korzyść praktyczną i pokazał Felisi jak się otwiera klamka owej furtki upartej, która jej przepuścić nie chciała. Z tamtej strony zkąd przyszła otwieranie owo było łatwem, ale z powrotem działo się inaczej. Czy to była nieumiejętność sztuki ślusarskiej w autorze klamki opornej, czy też skrycie w żelazo wcielona parabola filozoficzna, skutek był ten, że trzeba było pewne miejsce nacisnąć, a pewnego nie dotykać, aby zatrzask puścił i Jan wszystko to Felisi obszernie wytłómaczył, praktycznie pokazał, otwierając furtkę przed nią. Już się p. Jackowej na progu tej furtki ukłonił, już Felisi na pożegnanie małą rączkę chciał uścisnąć, gdy naraz spotkała go znowu niespodzianka.

— Mam do pana wielki interes — rzekła nagle Felisia Oktabowiczówna — wielką prośbę....

— Słucham pani — odparł, przymykającą się furtkę ręką przed nią przytrzymując, ale ona podniosła tylko na niego oczy i główką potrząsnęła. — O! nie mogę teraz tego panu powiedzieć — rzekła — nie mogę.... Prośba jest długa i nie mogę teraz powiedzieć....

Jan się zadziwił. Gdyby to nie mówiła Felisia Oktabowiczówna, „dobra dziewczynka,“ którą zdawało mu się, że zna na wylot, byłby pomyślał, że jest to zręcznie na niego zarzucony haczyk zalotnej panny, która chce go w stosunek jakiś pociągnąć. Byłby pomyślał, a nawet i teraz myślał: co to znaczy? Przecież spojrzał w błękitne oczy mówiącej, które na niego trochę niespokojnie patrzyły i uśmiechnął się łagodnie jak do ładnego dziecka.

— Kiedyż ja ten interes i tę wielką prośbę pani mogę usłyszeć? — zapytał żartobliwie, ale ona odpowiedziała poważnie, że bardzo prędko sama się do niego z tem zgłosi. Mówiąc to oblała się rumieńcem najróżowszym już, jaki Jan u niej widział, ale powiedziała niemniej, co powiedzieć potrzebowała, bo czyż przed chwilą nie przyrzekła sobie w kościele, że nie zważając na nic, będzie zawsze robić to, co uzna, że zrobić powinna. — Teraz chciałam pana tylko prosić, abyś nie odmówił mojej prośbie — dodała — i proszę o to bardzo, bardzo....

Jan przyrzekł, rączkę uścisnął i choć furtkę za odchodzącą zamknął, jeszcze wierzchem przez parkan za nią spojrzał. Gdyby nie rodzice, którzy czekali, byłby ją odprowadził do domu i dowiedział się jaką jest wielka prośba i wielki interes.

Towarzystwo pod kościołem, do którego Jan wrócił, przyjęło go wesołym żartem, że umie prędko zabierać znajomości z ładnemi twarzyczkami.

— Mała jest wcale ładna — mówili chórem panowie. — Mała jest bardzo ładna.... powtarzały chętnie czy niechętnie panny, z których żadna nie dobiegała wzrostem Felisi, aż p. Sewerynowa z Wólki, która po pani z Podlesia była największą damą na okolicę, lekko skrzywiła usta. — Szkoda, że takiego bardzo już niskiego pochodzenia — rzekła litościwie — córka takiego już dorobkiewicza...

Jan przerwał jej żywo dowodząc, że Oktabowicz jest uczciwym człowiekiem, który ani względem jego ojca, ani względem nikogo nie dopuścił się żadnych czynów takich, które dobrą sławę, lub sumienie ludzkie plamić mogą. Pracował i zarobił — któż więc mógł widzieć w tem coś złego, skoro praca jego przedsiębiorcza i przemyślna nie była przecież w gruncie rzeczy niepoczciwą? — Przynajmniej w mojej filozofii języka — dodał z uśmiechem, aby rzecz łagodniej zakończyć — wyraz dorobkiewicz wykłada się lepiej jak utracyusz...

Ale chcąc rehabilitować pracę, Jan musiał dotknąć niejednego z tych, co próżnowali. — Jesteś taki demokrata Jasiu — rzekł z lekką ironią p. Julian z Chmielnika, przyjaciel i dobry towarzysz Władysława — taki demokrata, że kto wie, co może być z tą ładną Oktabowiczówną.

Jan drgnął i zaczerwienił się ogromnie, ale podniósł czoło tak dumnie, spojrzał wzrokiem tak jasnym, że p. Julian umilkł mimowoli. — Nie może być nic z ładną Oktabowiczówną — rzekł wtedy Jan bardzo seryo, choć bardzo spokojnie — bo przedewszystkiem jest dla mnie za bogatą — jestem dla niej za ubogim... Mam dopiero chęć być dorobkiewiczem....

Zrobiła się cisza ogólna, a Jan znów się uśmiechnął. — Ale przepraszam — rzekł — między mną i „ładną Oktabowiczówną“ może być z czasem, gdy dziecko stanie się kobietą, coś ważnego bardzo — może być przyjaźń tak żywa i serdeczna, jak żywą i serdeczną jest dziś dla niej sympatya i wdzięczność moja. Bo ja mam dla córki Oktabowicza wdzięczność — dodał a głos miał teraz wzruszony i bardzo poważnie brzmiący — mam wdzięczność wielką. Kiedy jej ojciec, żądający tego co swoje, chciał nas wyrzucić ze starego gniazda, gdy nam zagroził licytacyą, więc ruiną, przeciwko której kto wie czy znaleźlibyśmy skuteczne środki ratunku? była chwila — o chwila bardzo ciężka dla mnie — w której musiałem prosić go o zwłokę jak o łaskę, i w tej to chwili dobra, szlachetna istota — córka dorobkiewicza, zapłakała z litości poczciwej nad nieznanymi i ledwo widzianymi kiedyś ludźmi, a jej łza padła może przeważnie na szalę naszego losu, bo padła na serce ojca, które bynajmniej nie jest złem i układ interesów stanął dla nas pomyślny. Wdzięczny jestem za to Oktabowiczowi — kończył niemal uroczyście, choć płomień, jaki mu przeszedł po twarzy, dowodził, że w piersi było uczucie, które w tej chwili cierpiało, uczucie dumy, którą zwalczył. — ale więcej może wdzięczny jestem tej dziewczynce dobrej, która w boleśnie gorzkim momencie życia dała sercu memu uczucie miłe spotkanej dobroci i tkliwości kobiecej.

— Eh! chłopcze ty poczciwy! zawołał p. Paweł ze Smardzewa, otwierając ramiona — niechże cię Bóg kocha, ale to ty masz duszę z gruntu zacną! Dalibóg, żebym ci dał córkę, choćby milion miała,a moich akademików będę do ciebie przywoził co wakacye każde, zapowiadając im: patrzcie się chłopaki na tego kochanego Jasia Kamieńskiego!.... A będziemy dziś u was sąsiedzie — kończył poczciwiec do p. Piotra, i wiele głosów odezwało się z taką samą obietnicą. Sąsiedztwo chciało okazać państwu Piotrowstwu współczucie swoje, a każda z pań uśmiechnęła się przytem do Jana najwdzięczniej miłym uśmiechem. Zaimponował ludziom szlachetnością swoją, co znaczy, że uderzył w lepszą stronę ich istoty i wydobył z niej iskrę poczciwą, która jest tam zawsze na dnie, byle się znalazł ktoś, co ją wykrzesać umie.

Jan, choć przeszedł przez wzruszenie, które go wiele kosztowało, rad był temu co zaszło, bo przeciął odrazu drogę wszelkim przypuszczeniom i żartom, niby wesołym, których sobie nie życzył. Rad był głównie, że oddał sprawiedliwość Oktabowiczowi, bo choć wiedziano w okolicy rzecz główną, a to że licytacyą publiczną grożąc, potem zmiękł i na dzierżawie Kamienia poprzestał, Jan wystawił teraz rzecz w świetle innem — w lepszem i sprawiedliwszem. Cieszyło go i to, że Felisi może drogę przyszłości nieco uprościł, że jej usunął z pod nóżek niejeden cierń przykro kłujący, to też chciał dokonać rzeczy dokładniej jeszcze.

— Droga pani — rzekł do pani Sewerynowej przy pożegnaniu — nie żartuj pani nigdy z tej biednej dziewczynki, którą nazywaliśmy dzisiaj córką dorobkiewicza. Jesteś pani za dobra na to, aby poniewierać dobrymi....

Pani uśmiechnęła się skinąwszy przyjaźnie głową, bo Jan zaszedł ją z tej strony, którą rzadko kiedy kobieta śmie lekceważyć. Odezwał się do uczuć jej serca, jakżeż miała odpowiedzieć, że tam było pusto i zimno. — Był dziś taki przystojny, zapalający się — mówiła potem do młodszej swej siostry, panny Lucyny — że doprawdy mógł się stać niebezpiecznym. — Gdybym tak była panną....

— To pozazdrościłabyś tej małej mieszczce — odparła panna Lucyna ironicznie. Tylko trzebaby ci było w takim razie płakiwać tak romantycznie, jak ona.

— Oh! rzekła pani Seweryna — można by było i uśmiechać się, Pamiętasz Wandę? Ta nie płakiwała przecież, a wszyscy mówili, że się w niej Jan kocha. Gdzie się

też obraca teraz? Podobno te panie są już w Wiedniu, a o Wandę stara się jakiś markiz włoski.

Po południu dnia tego był huk gości w Kamiennej Woli. W pokoikach niewielkich zrobiło się ciasno, ale wyniesiono stół i krzesła na podwórze i tam podano podwieczorek. I podwieczorek nie był takim, jakie bywały w Kamieniu; nie było ani czasu, ani myśli na pieczenie jakichś smacznych ciastek, na przyrządzanie jakiejś zastawy. Podano półmiski poziomek i dzieżki śmietany, chleb, masło i sery domowe. Ponieważ stary Wincenty był tylko sam jeden do usługi, zaczęła mu pomagać Jadwiga, a tę wyręczyła młodzież. Pani Piotrowej było to trochę markotno i Jan poznał to po matce, to też potem gdy już goście rozjechali się po herbacie, którą też przed domem wypito, przysunął się do niej cichaczem.

— Matko droga — rzekł — musimy się przyzwyczaić do roli ludzi niebogatych. Małe pokoiki drewnianego dworku już o tem uprzedzają na wstępie, ale ci co nam są życzliwi istotnie i tu do nas zaglądać będą, o innych zaś dbać nam nie należy.

Matka ucałowała głowę syna, który stał się mądrością rodziny i Jan jak zwykle wrócił na noc do swojej chaty leśnej pod dach słomianny. Czuł się zadowolnionym, bo dzień przebyty był pod wielu względami dopełnieniem instalacyi porządku nowego. Przeszedł szczęśliwie, a po za nim otwierała się już ścieżka jako tako ubita.

Kładąc się spać, Jan przypominał sobie tajemniczą prośbę i interes Felisi. Czuł się trochę ciekawym, ale nazajutrz zaraz z rana rzecz się wydała. Ogrodnik kamieński, Błażej, wszedł nagle do pokoju Jana, obładowany darami Pomony: dźwigał kosz wonnych ananasowych truskawek i kosz pięknych ciemnych czereśni, a w dodatku miał ćwiarteczkę różowego papieru w kieszeni. Na różowym papierze było wysztychowane w najśliczniejszy sposób: — Oto jest moja prośba, którąś pan obiecał spełnić... a pod spodem były elegancko związane dwie litery F. O., choć i bez nich Jan byłby się domyślił, kto pisał ten list oryginalny. Błażej został wyznaczony na szczegółowego tłumacza, o co właściwie chodzi, a chodziło o to, aby Jan zawiózł rodzicom, co Felisia od siebie przesłać im nieśmiała, a przesłać pragnęła bardzo, bardzo, jak opowiedział wymownie uwierzytelniony poseł dobrej dziewczynki.

— To jest proszę pana, wcale dobra panna z tej Oktabowiczównej — tłumaczył Janowi. — Tak mnie molestowała okrutnie, abym od siebie panicza prosił, i proszę też bardzo pięknie. Mam zapowiedziane, aby nikt w Kamieniu nie tknął tego co starsi państwo i panna Jadwiga najlepiej lubią i nakazano mi odstawiać tu wszystko regularnie, co dni parę. Powiedziałem jej też, że panicz znawu za czereśniami przepada i nałożyła ich ten koszyk. Wcale nie zła panna i niech już panicz tego nie czyni, aby miał jej odmówić. — Mój Błażeju, mój złoty Błażeju — mówiła mi na odjezdnem — niech mi to Błażej koniecznie sprawi, a będę taka kontenta!.... będę bardzo kontenta... Dała mi kieliszek słodziusienkiego likieru i powiedziała, że jak się tylko rozwiną białe róże na tym krzaku panny Jadwigi, panicz wie... ten krzak koło płaczącej wierzby, to mam duchem piękny bukiet robić i nieść go tu panu, aby ztamtąd szedł do Kamiennej Woli. Ona by tu przysyłała Bóg wie co, tylko nie śmie....

Jan zrozumiał, że mu się tych poczciwych względów odtrącać nie godziło, że odrzucenie ich byłoby pyszną pogardliwością. Więc też starego Błażeja za głowę uściskał, juz go nie kieliszkiem słodziusienkiego likieru, aby dozy nie przebrać, ale szklanką herbaty, którą właśnie sam pił, poczęstował i pannie Feliksie pięknie kłaniać się kazał, kazał jej bardzo podziękować za sąsiedzką pamięć o jego rodzicach. Choć odczytując powtórnie różową ćwiartkę śmiał się, jednak ja z pewną starannością do biurka sobie schował i doświadczał bardzo miłego wrażenia, gdy na piękne kosze owoców patrzył, a woń rozchodziła się po pokoju i przez otwarte okno uciekała w las między sosny. — Dobra dziewczynka popisuje mi się... myślał z zadowoleniem i coś jak gdyby rodzicielską dumą ojca, któremu mała córeczka niespodziewany honor przynosi. Miał do takich uczuć prawo pewne, bo czyż nie ogłosił się wczoraj opiekunem Felisi Oktabowiczownej? Możnaby również powiedzieć, że się ogłosił jej rycerzem, ale czasy nie były już rycerskie. Jan przez Marcinka kosze do Kamiennej Woli odesłał i wystawiał sobie z jakiem podziwieniem, a zadowolnieniem w końcu przyjmą tam poniedziałkowy ten podarek ranny. — Będę i ja dostawał przez tydzień cały jakieś rzeczy miłe — rzekł sobie i wziął z jednego kosza garść czereśni, które zajadał ze smakiem szczególnym, a niemniej w uczuciu swego prawa, bo czyż nie były dane na jego intencyą, jak Błażej powiedział? A były prześliczne, widocznie dobierane po jednej, dobierała je niewątpliwie dobra dziewczynka i były też takie słodkie. Lato było słoneczne i pogodne, to też choć rok ten zaznaczył się zkądinąd jako rok prób i doświadczeń ciężkich, czyż na pociechę dla smutnego nie mogła obrodzić jedna wisienka szczególnie dobra, rozwinąć się jakiś kwiatek osobliwie wonny?...

Jan przewidział wrażenie, jakie w Kamiennej Woli sprawi dar otrzymany: z początku było zadziwienie, potem trochę przykrego, żałośnego ściśnięcia, lecz ostatecznie przyjemność i uczucie wdzięczne dla dawczyni. Sam pan Piotr był wielkim truskawek amatorem i dlatego p. Piotrowa miała ich kwaterę całą, i w gatunku sławnym na okolicę, to też gdy się raz do jedzenia zabrano, gdy Jadwiga postawiła ojcu talerz ulubionego, dobrze ocukrowanego przysmaku, gdy z zapachem, który się rozchodził, przyciągnęła jak gdyby woń miejsc, gdzie urosły, przyjemność przeważyła w końcu.

Felisia ośmieliła się powoli do tego stopnia, że co niedziela kraśniejąc cała jak jedna ze słodkich wisienek kamieńskiego sadu, kłaniała się pierwsza ze swojego samotnego siedzenia do kolatorskiej ławki przed wielki ołtarz, gdzie jej ukłon uprzejmie oddawano. Przesyłki owoców i kwiatów stały się zaś rzeczą uregulowaną i tak przyjętą, jak gdyby już było koniecznością, aby stary Błażej ukazywał Janowi co drugie rano swoją twarz życzliwie uśmiechniętą i z dumą wnosił do jego chaty leśnej kosze owoców i opałki nowalii z kamieńskiego ogrodu. A były i bukiety kamieńskich kwiatów; zaczęło się to od róż białych z krzaku panny Jadwigi, który rósł koło wierzby płaczącej, potem przeszło do róż czerwonych i w kolei do wszystkich rozkwitających w Kamieniu kwiatów. Felisia, która je pielęgnowała na równi z Błażejem, cieszyła się każdemu pąkowi, który miał się rozwinąć. — Będzie jutro śliczny kwiat do bukietu! wołała radosna, a bukiet szedł nazajutrz rano do Kamiennej Woli, przechodząc przez chatę w lesie, w której przecież niejedno tak zostawało niewierne, jak owa samowolnie zjedzona garść czereśni. Jan bez ceremonii wyciągał sobie z bukietu kwiatów kilka i sam kładł je do wody w czarkę kryształową, którą już na ten użytek przeznaczył. I kwiaty te wąchał zawsze z przyjemnością wielką, wąchał zwykle ilekroć do swojej chaty leśnej od gospodarstwa powracał. — To aromat miejsc rodzinnych — mówił, czując że ta woń dziwnie mu jest miłą, niemniej postać dobrej dziewczynki słaniała mu się zawsze wśród kwiatów, które aromat ów wydawały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jan Ramzau.

ROMANS MARYNI.

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Drukowana w popisowym numerze popularnego czasopisma „Touche à Tout.“

17) PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU.

(Ciąg dalszy).

— Tak, a teraz trzeba pomyśleć o obiedzie, moi drodzy, wam się może zdaje, że kto się kocha, ten jeść nie potrzebuje... A jednak nieźle jest napić się trochę buljonu i spożyć antrykot, przeszedłszy przez takie emocye... To dodaje sił do wzruszeń jutrzejszych! Ale, ale przywiozłam ci wisien i kurę faszerowaną, Bertrandzie, są oto w tej walizie. Nawet jakiś człowiek w czapce mundurowej kazał mi za to zapłacić pięć sous, paskudny!... Może moglibyśmy zjeść tę kurę razem, co?

Bertrand zaprzeczył ruchem głowy:

— Pewno nie! — odparł: — nie będziemy jej mogli zjeść razem. Żaden z wizytujących nie jada z pensyonarzami. Taki przepis.

— To może mógłbyś pan pójść z nami do restauracyi? — spytała Marynia: — nie pozwolą panu wyjść z matką?

— Nie sądzę.

— Możnaby jednak spróbować. Pewno trzeba się spytać tego pana, co nas tu przyjął? A możebym tak ja z nim pomówiła?

— Dobrze, niech panna Marya z nim pomówi! — przytaknęła Kasia, licząc bardziej na elokwencyę Paryżaneczki niż na swoją.

Młody skowronek śpiewa lepiej od starej wrony.

Niestety! pan dyrektor okazał się również nieczułym na głos skowronka jak na głos wrony. Przepisy nie pozwalały. Niepodobna było wypuścić na miasto pensyonarza bez zezwolenia rady nadzorczej. Co zaś do kury faszerowanej, to pan dyrektor pozwolił ją odesłać do kuchni. Tam się ją upiecze i pan Bertrand będzie ją mógł spożyć jutro na śniadanie.

— Bez soli i bez pieprzu, panie dyrektorze! — chciała powiedzieć Kasia, wszystko bowiem, co było potrzebne, włożyła do farszu.

Ale czyliż mogła się ośmielić? Nic więc nie powiedziała. I ta bojaźliwość jej byłaby może przyczyną, że Bertrand jadłby bardzo źle nazajutrz.

Jednakże, gdy pan dyrektor wyszedł, zwróciła uwagę syna:

— Ani soli, ani pieprzu, syneczku! Dosyć tam tego!“ Poczem, zarumieniwszy się nieco, powiedziała Bertrandowi dobranoc i wyraziła chęć pójścia do miasta i wyszukania jakiego pokoju, ażeby jaknajprędzej wypocząć.

W kilka minut potem wyszły z Marynią, przyrzekły Bertrandowi, że wstaną z pierwszym kurem i przyjdą go odwiedzić.

Marynia prowadziła ją przez ulice miasta. Nie było to łatwą sprawą.

— Ile wagonów! Jezu! Ile powozów! — wołała Kasia, którą każdy wóz przestraszał, którą ogłuszał turkot tramwajów elektrycznych.

Za każdym razem, gdy mogła, szła środkiem ulicy w równej odległości od trotuarów, jakgdyby się bała, ażeby te olbrzymie domy nie przygniotły jej swoim ciężarem

Marynia, która nie chciała oddalać się zbytnio od Bertranda, wynajęła dwa pokoje na jedną noc w dzielnicy kolejowej. Obie kobiety zjadły coś niecoś i niebawem udały się na spoczynek. Nazajutrz, chociaż wcale nie słyszała pienia koguta, Kasia była na nogach już o godzinie piątej. Chciała bowiem zaraz kupić tę lunetę, która miała rozbroić strasznego Jana. Ale, wyjrzawszy na ulicę, spostrzegła, że wszystkie sklepy były jeszcze pozamykane. Ci mieszczanie, co to za ospalcy!...

Dopiero o ósmej mogła była wejść do pewnego bazaru na ulicy św. Katarzyny. Marynia oprowadzała ją wzdłuż galeryj.

— Lornetę? To się paniom pokaże! — oświadczył jeden z subjektów w białej bluzie, wyglądający jak gdyby spał jeszcze.

Już sam akcent tego człowieka wystarczył do przerażenia Kasi. A i te lunety, jakie były drogie! Czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt franków! I jakże się tu przekonać, czy Jan będzie mógł doglądać swoich ludzi z Hastingów po przyłożeniu oka do lupy?

Kasia spróbowała przyłożyć swoje własne; ale chociaż subjekt zaprowadził ją na balkon, chociaż pokręcał i w górę i na dół, widziała jedynie tylko szkło matowe. Marynia zapewniła jednak, że trochę widzi: jakąś damę z czerwoną parasolką na końcu ulicy. — Pani Bruscailowa kupiła lunetę za 40 franków. Powie się Jasiowi, że kosztuje tylko dwadzieścia, zakląłby całą Biduzę, gdyby się dowiedział, że jego żona może robić tak cenne podarunki. On bo sam nigdy jej nie dawał ani susa. Tradycya nie pozwalała obywatelowi gaskońskiemu na zbytnią hojność względem żony. To już od niej samej zależało sprzedać od czasu do czasu parę sztuk drobiu lub kilka tuzinów jaj. Kasia, coprawda, sprzedawała także pokryjomu, ilekroć mogła, worek kukurydzy lub miarę grochu, co pozwalało jej na nieco obfitsze słodzenie swej kawy.

Wzięła rulon pod ramię i odeszła z Marynią do Bertranda.

Ale gdy przybyły do domu zdrowia, odźwierny rzekł im:

— A ktoś właśnie przyjechał i pytał się o panie.

— Ktoś? — zaniepokoiła się Kasia.

— I pyta się o nas?

— Tak, panienko; ten pan musi być zapewne w poczekalni.

Odźwierny wskazał im drogę do poczekalni.

Była to izba ośmiokątna w jednym z rogów ogrodu, tworząca parter oficyny. Gdy otworzono drzwi do tej izby, Kasia stanęła jak wryta! Był tam jej mąż, jej mąż naprost Bertranda! a ten miał minę bardzo zgnębioną...

— Aha, otóż są! — zawołał właściciel Budy głosem zapowiadającym burzę.

— Jezu! Ty tutaj! — wybąkała Kasia cała w ogniu.

— A tak! Trzebać się było przekonać, co się z wami stało... Wsiadłem do pociągu nocnego i przyjechałem o piątej zrana, nie zmrużywszy oka. W ładnym stanie zostawiłaś pani matkę! No a i nasz Cypryan...

Tu dziedzic Budy dokończył z goryczą:

— Przysłano mnie właśnie, ażebym się dowiedział, czy jesteście w tym domu zdrowia przejezdni czy na stałe!

— O, proszę pana! — usiłowała zaprotestować Mania.

Ale Broscail wcale się nie zmieszał.

— Jestem zbyt grzeczny, moja panno, — oświadczył, — ażeby wręcz powiedzieć, żeś straciła głowę. Nie mniej jednak to, coś uczyniła... Wyjechać w ten sposób, w wigilię intercyzy, i nas tak wystrychnąć... No, a potem, co mi opowiedział ten chłopiec...

— Cóż mógł panu opowiedzieć? że go kocham? To prawda proszę pana, kocham go, jego tylko jednego kocham! I jeżeli wyjdę za mąż, to tylko za niego. Proszę mi przebaczyć, ale to najprawdziwsza prawda. Będę żoną pańskiego syna Bertranda, albo niczyją.

— Bertranda? — zawołał Bruscail z równym podziwem jak litością. — Ależ to młodszy, dziewico Boża!

— Młodszy? — A cóż mi to szkodzi?

— Co to szkodzi? Ach! Paryżanka! Ależ ten pani Bertrand nic mieć nie będzie! Zaledwie trzecią część tego, co jego brat.

— A co mi tam!

— Ależ ja go prawie nie posyłałem do szkół, tego pani Bertranda! On ma zaledwie jedno świadectwo ze szkółki. Podczas gdy Cypryan... Cypryan ma stopień bakałarza... Tak moja pani, bakałarza! I kazałem go uczyć władania bronią! I gra na fortepianie! No i co jeszcze, a no masz pani, dawnoć to jak otrzymał zaprosiny od baronowej de Peyrelongne z Biarritz!... To tak, moja panienko, tak jest oto!

Ale Marynię nie olśniły napozór te przeróżne zasługi Cypryana.

— Co mi to szkodzi? — mówiły, zda się, jej płowe oczy.

I w napadzie miłości dla tego biednego chłopca, który ani nie grał na fortepianie, ani nie otrzymał zaproszenia od żadnej baronowej, chwyciła go za rękę i znienacka do ust ją poniosła.

— Ach! jeżeli panią oczarowano!... — rzekł Bruscail, depcząc po sali tak jakby miał rozbijać grudę nogami na swoich polach.

— Tak panie, jestem oczarowana i nie ma na to rady, jak pan widzi.

— Dobrze, dobrze! Dla mnie, to tam wszystko jedno, niech mi pani wierzy!... Ale niestety, wątpię, ażeby pani matka była tego samego zdania, co pani; w takim razie pytam, czy warto było jechać w ten sposób po ogłoszeniu zapowiedzi, po zamówieniu notaryusza i wtedy, kiedy już wszyscy wiedzieli o dniu ślubu... Ach, to i twoja wina! — dodał, zwracając się do Kasi. — Sama widzisz, że ten smarkacz był tak chory jak i ja. Ale gdy się komu we łbie tak przerzuca jak tobie... Ach, łeb bardoski!

Kasia pozwalała mu gadać; nie odpowiadała ani słowa, równie jak Bertrand. Tylko ciągłe drganie powieki nad lewem okiem zdradzało, że była mocno zdenerwowaną.

Podobna do większości swoich ziomków, które są zdania, że kobieta jest raczej niewolnicą, nie zaś towarzyszką męża, wzięła bardzo za złe pannie Couloumerównie, że się tak odważnie stawiała wobec Bruscaila.

W głębi swego czystego sumienia, przyznawała słuszność swemu mężowi i tłomaczyła sobie gniew jego. Co najbardziej musiało oburzać władcę Budy w tej całej sprawie, to nie tyle może uczucia panny Maryi — co go tam obchodziły te bagatelki? — ale raczej grunta pani Couloumerowej, których już nie miał dołączyć do swoich posiadłości. W istocie Bertrand, jako młodszy, nie mógł zostać w Budzie. Trzeba go było „ożenić nazewnątrz“, zgodnie z określeniem lokalnem, dając mu jakiś folwark odosobniony, w Bardosie czy gdzieindziej, tak, że Buda, zamiast by się powiększyć o jaki tuzin „metajerów“ (czyli kawałków ziemi), musiałaby być niezwłocznie obciętą na rzecz młodszego syna. A przez Boga żywego, toć to mogło wywołać kilka przekleństw ze strony dobrego gospodarza, który jedno ma tylko kochanie, jeden kult jedyny: — ziemię!

Kasia doskonale czuła, że cała irytacya Jana pochodziła z tych przyczyn. To też przyrzekła sobie, że uczyni propozycyę łagodzącą, jak tylko wybuchy męża zwolnieją nieco.

— Ależ mój Jasiu, może by się to dało ułożyć.

— Jakto ułożyć?

— Jeżeli panna Marya istotnie chce wyjść za naszego Bertranda, nie wypadnie nam nic innego, jak tylko zrobić go naszym dziedzicem.

— Jego dziedzicem, tego biedaka?

Bruscail wzruszył ramionami.

— Dla czegożby nie? To już bywało, że rodzice oddawali większą część młodszemu synowi. W takim Bordeaux, naprzykład, w Coumayotte...

— I tu i tam starszy był kaleką i to nie wszystko jedno.

— Zapewne, ale skoro okoliczności...

— Tu nie ma okoliczności. Taki ładny chłopak jak Cypryan musi być dziedzicem. Nikt by nie mógł zrozumieć, dla czego wydziedzicza go się na korzyść tego dyabła. A zresztą, daliśmy mu wykształcenie, piękne maniery, to panek, nie umiałby pracować.

— E, nauczyłby się!... Bertrand jednak mógł się nauczyć....

— Gdyby nasz Cypryan umiał się ograniczyć, to mógłby wreszcie żyć bez pracy, w Bardosie, na swoich pięciu metajerach.

— On się nie umie ograniczać.

— A, tem gorzej. Będzie musiał, — rzekła Kasia dość śmiało. — Zapewniam cię, Jasiu, że jest to najlepszy sposób załatwienia tej sprawy bez przykrości dla ciebie. Bertrand zamieszkałby w Budzie z żoną i tak wszystko by się odbyło jak się odbyć miało, tylko w intercyzie na miejscu Cypryana figurowałby Bertrand... Jak myślisz, Jasiu?

— No tak, sposób to niezły, — ustąpił Bruscail, łagodniejąc nieco. — Ale na to potrzeba zgody Cypryana!... On ma prawa!... Jego to Bóg najwyższy dał nam pierwszego.

— Zapewne, ale ja myślę, że Bóg najwyższy nam przebaczy! — pozwoliła sobie oświadczyć Kasia, której różaniec w kieszeni wydał szczęk orzechów: — to od ciebie samego zależy.

— Tak, tak! To byłby sposób!... — mruczał Bruscail coraz więcej rozbrojony... — Ale jednak ten Cypryan...

— Ba, ba! Cypryan, przebiegły, zręczny, jak to on, a przytem z białemi rękoma... on, co umie tak nosić kapelusz,

znajdzie jaką bogatą pannę w Bayonnie, która wyjdzie za niego dla pięknych oczu! Bądź o to spokojny!

— To być może! Sprytu mu nie brak! Co do mnie, moja panienko, jeżeli się mama zgodzi... — rzekł Bruscail, zwracając się do Maryni z czulszym wyrazem na ogorzałej twarzy; — bo widzisz, moja pani, ja bo miałem zawsze dużo życzliwości dla ciebie i, mój Boże! — wyjdź sobie za starego czy za młodszego, byleś była szczęśliwa!... Ale pomówimy lepiej o tem wszystkiem „Pod kapłonem“. Zna pani restauracyę „Pod kapłonem“, panno Maryo?

— Nie znam, panie Bruscail.

— No to ja panią tam zaprowadzę. Ostatnim razem byłem tam na małej przekąsce z moim krewniakiem z Bayonny; dano nam potrawę cielęcą z ryżem, paluszki lizać... Gdyby sam cesarz zaszedł kiedy do Bordeaux, nie spożył by nic innego... Taka podróż nocna łamie człowieka! Ale co ty masz pod pachą „Kasiu“.

Od niejakiej chwili przyglądał się czarnej paczce, którą żona trzymała pod pachą. Kasia umyślnie wysunęła ją do przodu, uznała bowiem, że moment był odpowiedni.

— To mały prezencik dla ciebie, Jasiu! — odparła skromnie. — Nie wiedziałyśmy, że przyjedziesz, myślałam przeto... Tyle razy mówiłeś mi o tej lunecie u pana Darriguanda... Chcesz ją zobaczyć?

— Lunetę?

— Tak, subjekt mnie zapewniał, że można przez nia zobaczyć kurę o trzy kilometry.

— O trzy kilometry, kpiny! — rzekł Bruscail, otwierając lunetę niezgrabnemi rękoma.

— Ależ nie, nie, to gwarancya!

— Ale to musi grubo kosztować ta maszyna, hę?

— Nie, nie, to okazya! — wybąkała Kasia.

— Resztka! koniec inwentarza!... — przytwierdziła Marynia, ani mrugnąwszy nawet.

— Ileż więc?...

— O panie Bruscail! A któż się pyta o takie rzeczy? Przyjemność zrobienia panu niespodzianki...

— No, no! Dobrze się musiała nasprzedawać kaczek na targu w Peyrehoradzie! Ach, te Baskinki, panno Maryo! Przemycają lepiej od nas! Dawaj, wypróbujemy zaraz na moście kolejowym...

Bruscail zdawał się być pokonanym. Kombinacya, zaprojektowana przez Kasię, ujęła go. Tak, doskonale, dość będzie tylko skłonić Cypryana, ażeby się wyrzekł praw starszeństwo i wszystko się ułoży. Majątek pani Couloumerowej przyłączy się do posiadłości Budy jak przedtem, i z okien oficyny, piękna łąka, pola, winnica, las — wszystko stanie się własnością dziedzica Budy, wszystko, od Biduzy do Gawu! Ach! Boże wiekuisty! Czyliż nie warto było wobec tego zmaltretować nieco tradycyi i oddać młodszemu synowi to, co Pan Bóg zdawał się przeznaczać dla starszego?... Ktoby jednak pomyślał, że ten dyabeł Bertrand zdoła wygryźć Cypryana z serca Paryżanki?

— No, a teraz „Pod kapłona!“ — rzekł Bruscail, wstając. Ty, Bertrandzie, pójść z nami nie możesz, wiem: przepisy.

— Ach panie Bruscail, — prosiła Marynia, — gdyby się pan wstawił do dyrektora?

— Nie, nie, to zbyteczne, już próbowałem. Ale my go stąd uwolnimy za dni kilka, przy pomocy dra Bruscaila, mego kuzyna z Bayonny. Nie będzie już żadnych trudności...

Bruscail powiedział mu, że się go odwiedzi po śniadaniu i wyszedł — tin-tan, tin-tan! — pomiędzy Marynią a Kasią, wciąż wzdychając jeszcze:

— Ale też to łamie ta podróż nocna! Aj, jak łamie!

XIV.

W Guiche, od chwili gdy pani Couloumerowa doniosła bilecikiem o odpowiedzi Maryni, młody Cypryan nie mógł usiedzieć na miejscu. Zrozumiał ważność sytuacyi; czuł, że panna Couloumerówna była dlań stracona, a takie rzeczy ranią do żywego.

— A waryatka jedna! — przeklinał: — nie dziwi mnie wcale, że się zadurzyła w waryacie!

Chciał udać się za ojcem do Bordeaux, ażeby się prędzej dowiedzieć o tem, co się działo; ale godność powstrzymała go nad brzegami Biduzy. Nie chciał wyglądać na człowieka, który goni swoją narzeczoną.

Pomimo to jednak nie opuścił ani jednego pociągu, jakie stawały na przystanku w Guiche.

Cztery razy był tam nadaremnie. Ale za piątym razem, spostrzegł słomkowy czarny kapelusz ojca, ukazujący się z wagonu. Serce mu zabiło.

— I cóż? Ojciec sam? — zapytał głuchym głosem.

— A, to ty, Cypryan?... Tak, sam. Ale przyjechałeś z temi paniami.

— Gdzie one są?

— Zostawiłem je w Samach w przejeździe. Twoja matka odprowadza pannę Couloumerównę.

— Ach! No a jakież nowiny?

— Hm... nowiny... — mruknął Bruscail, spoglądając na oficyalistę, który stał pod czerwonym daszkiem i odbierał bilety... Nie teraz, później. No, może weźmiesz mój kuferek.

Mijali oficyalistę. Bruscail oddał swój bilet.

— Jak się masz, Maringot, no jak ci tam idzie? — zapytał wesoło.

— Nie źle, panie Bruscail. A pan jak się miewa? Pan wojażował trochę?

— A tak! Nic tu nowego?

— Nie. A tam, proszę pana?

— Nie nic, nic... Smacznego na obiadek!...

— Bóg zapłać, nawzajem!

Gdy się znaleźli sami nad Biduzą, ojciec rzekł:

— Ten Maringot musi wiedzieć o wszystkiem; to było znać po jego oczach.

Cypryan zawołał:

— A któż nie wie, do kroćset! Cała okolica mówi tylko o nas! Od chwili wyjazdu ojca ze dwadzieścia osób przychodziło się pytać o nowiny.

— A notaryusz?

— Nie widziano go tu wcale.

— Telegrafowałem doń z Bordeaux, wczoraj zrana.

— O czem?

— Ażeby nie przyjeżdżał, ażeby się wstrzymał jeszcze przez kilka dni.

— Ach, a więc za kilka dni?...

— Tak, może... Ale pogadamy o tem w domu! — rzekł Bruscail, spostrzegając wieśniaków, nadchodzących po drodze do holowania statków.

Przyspieszyli kroku. Cypryan oblany był potem. Nie mówiąc ani słowa do siebie, szli w stronę Budy boczną ścieżką, ażeby dojść prędzej.

Po przyjściu, Cypryan umieścił kuferek na jednym z krzeseł w sieni i udał się zą ojcem do jego pokoju. Drzwi się zamknęły i teraz dopiero można było mówić swobodnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)